

ŚWIĄTU

ICEK PODWÓJNY.

SZKIC Z ŻYCIA WIEJSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Święty Józef kiwnie brodą,
Idzie zimno na dół z wodą.

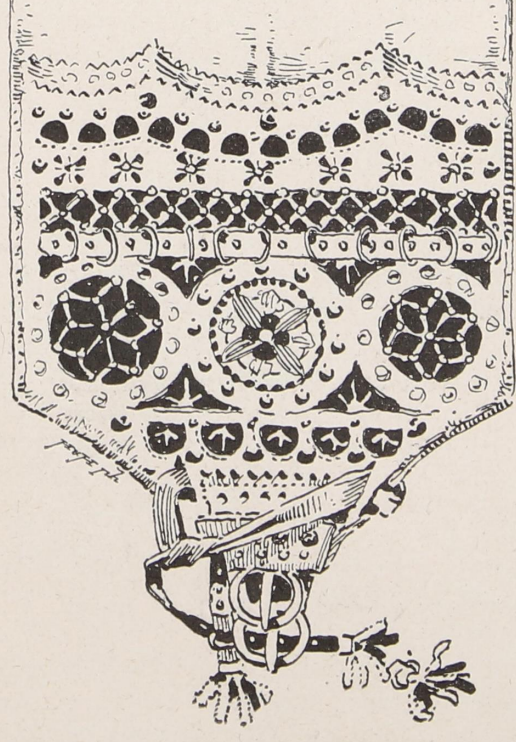
Gdy na św. Józef pogoda,
Będzie w polu uroda.

Na Zwiastowanie
Zlatują się bocianie.

Jakie Zwiastowanie,
Takie Zmartwychwstanie.

Deszcz w św. Marek,
To ziemia, jak skwarek.

Święty Józek, wiezie trawy wózek,
Ale czasem smuci,
bo śniegiem przyrzuci.



Ostremi nożami delikatnej myśli zaczął Icek robić sekcję na chłopie.

Naprzód bardzo zgrabnie, a zawsze tylko myślą, ściągnął z niego sukmanę starą, co była warta może rubla, i zgrzebną koszulę, która nie miała żadnej wartości; następnie zaczął ściągać skórę. Twarda, chłopska skóra, istna podeszew, wymoczona na deszczach, wysuszona na skwarze słonecznym, wyziębiona nieraz na mrozie. Doskonały kawał skóry! Końska odparza się od chomonta, a tej nic nie szkodzą ciężary, kloce drzewa, wory zboża; pod tą skórą wyobrażnia Icka nie może znaleźć wcale tłuszczu, nie ma nawet małej warstewki, ale są natomiast mięśnie... Doskonałe mięśnie, żeby takie dobre szczęście do handlu mieć, jak one dobre są!..

Icek kiwa głową z zadowoleniem i podziwiał, jak świat jest mądrze urządzone: chłop ma plecy, a żyd głowę i to się ślicznie kombinuje. Takie plecy!

Mięśnie w nich potężne, wyglądają jak bardzo grube i bardzo mocne postronki, rozłożone symetrycznie na grzbiecie, łopatkach, żebrach i ramionach. Icek wie, jak to wygląda, bo widział nieraz wołu w negliżu, gdy rzeźnicy skórę z niego zdjęli. W chłopie tak samo jest, bo to jedna kompania. Odsunął wielki myśliciel mięśnie, żyły, arterie, nerwy i dobrał się do kości. Żeby takie mocne zdrowie mieć, jak te chłopskie kości są mocne!

Jaki grzbiet, jakie łopatki, co za ramiona, jakie żebra! Grubiańskie, ale twarde; bez żadnej delikatności, ale zdrowe, grube, ale siła w nich jest, końska, wołowa siła. Odbwszy w duchu tę sekcję, Icek również w duchu odział swego woźnicę w mięśnie, żyły, nerwy, przykrył to wszystko skórą, skórę koszulę, koszulę sukmaną, i objął wzrokiem całość. I w szczegółach i razem — wielkie plecy; nie można powiedzieć inaczej, tylko wielkie plecy!!...

Icek wytrząsnął popiół z fajki, napchał w nią tytoniu, zapalił i jednocześnie wypuścił z głowy dwie myśli, z których jedna była niby gołębiem, druga wężem. Gołąb pofrunął pod obłoki, wąż popęznął cicho po ziemi. Jak dubeltówka może z jednej lufy wyrzucić śrót a z drugiej kulę, tak głowa ludzka może tworzyć poezję i prozę. Biały gołąb poezji pofrunął daleko i wysoko i zaprowadził myśl Ickową do tego kamienia, co leżał przy drodze z Beerseba do Haranu, o który była oparta drabina Jakóbowa. Napawał się Icek tem pięknem wspomnieniem, aż przypełzła myśl druga, wąż niby, i ściągnęła ducha Ickowego do chłopskich pleców z powrotem i już się myślicielowi naszemu całkiem rozjaśniło w mózgu i przyszedł do wniosku, że jednak ta drabina z plecami chłopskimi ma związek.

Rzecz prosta, że musiała ona mieć mocne szczeble, a jakież materiały od chłopskich pleców mocniejszy?! Drabina stoi po dziś dzień, dzieci Jakóbowe wspinają się po niej coraz wyżej, a szczeble nic a nic nie słabną, są one mocne, bardzo mocne. Fajn szczebelki.

Icek postanowił, że przy pierwszej sposobności rozwinie szeroko tę myśl w pewnej krawieckiej szkole i że zjedna sobie słusznie należny poklask i już zaczął układać początek mądrego przemówienia, gdy nagle koło wozu stuknęło o kamień, a chłop się przebudził i ziewnął tak donośnie, aż się w pobliskim lesie echo odezwało.

Biały gołąb się spłoszył, wąż się spłoszył, Icek drgnął, a myśl jego przerwała się nagle, niby nitka pod dotknięciem noża.

— Paskudne ziewanie macie, Marcinie — rzekł prawie z gniewem.

— A dyc — odrzekł chłop — spać mi się chce, to ziewam krzywkę.

To rzekłszy, ziewnął powtórnie jeszcze głośnie.

— No, no, wilk chyba głośnie nie wyje.

— Pewnie... Każdemu stworzeniowi, jak jest śpiące, gęba się drze.

— Dziwna, że wam się do tej pory nie rozdarła.

— Toć nie żydowska kapota, żeby się miała drzeć, jeno ludzka gęba, gospodarska...

— Dlaczego kapota i dlaczego żydowska?... Wasza gęba nieprzyjemna jest, Marcinie.

— Nie dał mi jej Pan Bóg miłosierny dla Ickowej przyjemności, jeno żebym miał czem chleb jeść.

— Mnie się zdaje, że wy bardzo dużo chleba zjadacie.

— Jak Bóg da dużo, to się je dużo, a jak mało to mało, ale zawsze się je swój, nie cudzy...

I znowu ziewnął głośno.

— Słuchajcie-no Marcinie, ja was proszę, nie ziewajcie wy tak brzydko.

— Albo co?

— Bo mnie od tego zimno jest.

— Patrzajcie! a cóż mam robić?

— Rozmawiajcie; powiedzcie co, to wam się spać odechce.

— A cóż mam powiedzieć? Nie mam ja do powiedzenia dużo. Ot, wy prędzej; ponoś gdzieś do zamorskich krajów macie jechać.

— No, mam, to prawda jest... ja pojedę.

— To niech Icek jedzie.

— I wiecie, że ja tu już do waszych paskudnych Trzęsidłów wcale nie powrócę.

— A to niech Icek nie wraca.

— No, i wy mnie nie będziecie żalowali? Nic, ani trochę?

— A czego?

— Jakto czego? Mnie, Icka. Co wy tu będziecie bezemnie robili?

— To co i zawsze, będziemy orali, siali, żęli, kosili, młócili, sprzedawali zboże.

— A kto je od was kupi, jak mnie nie będzie?

— Insze żydy; urodzaj na nich wielki co roku, nie zabraknie. Czy rok mokry, czy suchy, zawsze przybywają. Gradu na nich nie ma, ani powodzi.

— Marcinie, wy jesteście wszyscy paskudny naród; wy nie znacie co to wdzięczność, nie rozumiecie jak wam kto dobrze robi, dobrze radzi, jak was kto żałuje w kłopotcie, jak wam przychylny jest.

— A gdzie to taki dobrodziej jest?

— Jakto gdzie? siedzi koło was!

— Icek?

— Może nie?

— Nie miałem ja od was nijakiej dobroci.

— A nie pożyczyłem to wam kiedyś trzy ćwiartki jęczmienia na wiosnę?

— A nie oddałem wam za to półtora korca na jesieni?

— A pieniędzy też wam pożyczałem.

— Brałście duży procent.

— Jaki wy głupi, chcecie, żeby kto pieniądze darmo dawał?

— A wy chcecie, żeby was kto darmo żałował.

— Darmo?! tfy! wy Marcinie sami nie wiecie, co gadacie.

— A juści!

— No, że ja wam pieniędzy nie dawałem darmo, to prosta rzecz, pieniądze kosztują; że wy mnie nie chcecie żałować darmo, to jesteście zły człowiek. Żal idzie z serca, a przecież serce nic nie kosztuje. Czy zapłaciliście za nie chociaż jeden grosz? Co wy jesteście bezemnie? co wy znaczący?... Jaką wy sobie radę możecie dać... aj, aj, my jesteśmy dla was tem, czem głowa dla człowieka, my za was myślimy. No, czy nie tak?

Chłop nic nie odrzekł, a Icek nalegał.

— No, jak wam się zdaje, czy nie jest tak, jak ja mówię?

— Albo ja wiem.

— Chłopskie gadanie! drapać się w głowę i mówić: albo ja wiem.

— A no, Icku, skoro powiadasz, że jesteś moja głowa, to powinieneś wiedzieć co ja myślę o tobie.

— Co wy możecie myśleć?! dużo warto wasze myślenie jest! — rzekł z pogardą.

— Ja myślę, że Icek jest cygan.

— Tfy! tfy! jak to można powiedzieć na porządnego żydka, że jest cygan. Tylko z głupiej głowy może wyjść takie myślenie, a z grubiańskiej gęby takie słowo. Wy wszyscy nic nie warci, wszyscy co tu jesteście na tym piasku, na tych bagnach. Szlachcic z wielką fanaberyą siedzi na swoim folwarku, jak pies na płocie. Sto

razy by z płota zleciał, żeby go jaki porządny żydek w porę nie złapał i nie przytrzymał. A jaka fanaberya! jaka pycha! Chłop taki paskudny, ordynarny chłop, ten ma także swoją fanaberyę, a przecie żeby nie miał żydka, toby całkiem zmarniał; nie wiedziałby nawet, u kogo kupić kwartę gorzałki do przepłukania swojej grzdyki. A jaka fanaberya! jaka pycha!... Chłop pyszny jak szlachcic, szlachcic jak hrabia, a hrabiemu to zdaje się... albo ja wiem, co się jemu zdaje?! Coś dziwnego!? Wszyscy oni razem tyle warci co nic, wszystkich dawnoby dyabli wzięli, gdyby nie nasze żydki, co ich cokolwiek trzymają.

— W garści i w kieszeni — dorzucił chłop.

— W jakiej garści? w jakiej kieszeni? Czy my na was majątki porobili? Niech nasze wrogi to wychodzą, niech im cały nasz zysk bokiem wylezie, niech ich oczy zabolą, paskudników. Pfe! Patrzcie na moją garść... w niej figa jest; patrzcie na moją kieszeń... same dziury. A my z wami mamy smak, mamy interes za naszą dobroć, za to, co my was żalujemy, co dajemy wam pieniędzy w potrzebie. Bez nas jużby was dawno nie było; my pójdziemy i was nie będzie; a wiecie, dlaczego was nie będzie? Oto dlatego, że was dyabli wezmą...

Chłop jakoś dziwnie ramieniem poruszył i nawet obejrzał się trochę, ale milczał jeszcze; dopiero po dłuższej chwili, zapytał bardzo spokojnie:

— Icku, jedliście wy kiedy chleb?

— To jest bardzo głupie pytanie, dlaczego ja nie miałbym chleba jeść?

— I dobry był, co?

— Chleb zawsze dobry, nie wiecie o tem?

— Ja bo tylko jeden gatunek chleba jadam, zwyczajnie jak chłop.

— Razowy? ja też czasem jadam razowy; nawet lubię taki chleb, trochę on gruby, ale idzie na zdrowie.

Wy zawsze jadacie czarny chleb?

— Nie, nigdy.

— Pi! Pi! ja powiadam, że teraz chłopci porobili się wielkimi panami... On nigdy czarnego chleba nie jada! A czem się żywił wasz dziadek, wasz ojciec? Może jadł białe kluski z miodem, albo pęczak z pomarańczami? Ha! ha! Wy, Marcinie, wy pan, delikatny chleb jadacie: podsitkowy, albo pytlowany?

— I takiego nie jadam.

— Aj! aj! perłowe ząbki! jedwabne podniebienie, safianowy język, aksamitna gęba! Biały, całkiem biały chleb jada wielmożny pan Marcin! Taki biały jak szabasowa chała, jak bułeczki. Nie wiedziałem, że jesteście taki grymasny magnat.

— Ja tam i białego chleba nie jadam.

— Też nie? No, no, czarnego nie, pytlowego nie, białego też nie, ja nie znam więcej gatunków chleba.

— Jest jeden jeszcze i ja na takim zęby zjadłem.

— Cóż to za chleb?! co za taki specyał jest? jak on się nazywa?

— Własny.

Icek aż podskoczył na furze.

— No, własny, ja wiem, że on wasz własny; a może wy chcecie powiedzieć, że ja jadam chleb kradziony? ja was proszę, wy nie gadajcie takie dyfamacje. Mój chleb jest mój własny, tak samo jak wasz.

— Nie tak samo.

— Tak samo!

— Nieprawda!

— Dlaczego?

— Ha, mój Icku, ja się cudzemi interesami nie trudnię. Spałem sobie na furze... wyście mnie zbudzili; nie chciało mi się gadać, ciągnęliście mnie gwałtem za język; trajkotaliście jak on pytel co się we młynie teple; słuchałem; ale kiedy już koniecznie chcecie, żebym przemówił, to przemówię i nie żydowskim przebiegiem i wykrętem, ale po prostu, po chłopsku, jak łopata włożę wam w waszą okrutnie mądrą głowę słowa prawdy, żebyście wiedzieli i żebyście to sobie w kominie zapisali, że wasz chleb tak jest podobny do mojego chleba, jak na to mówiący, węgorz do krowy, albo ziarno pszenicy do biedki żydowskiej.

— No? no?

— A tak, mój panie Icku, podobieństwa tu żadnego nie może być. Ja na mój kawałek chleba muszę ziemię zorać, czy Icek wie jak to ciężko?

— No, orać, wielka rzecz orać, to przecie każdy chłop potrafi.

— Ale nie każdy żyd. Dobrze w krzyżu zabolą, jak się człowiek sochy nadźwiga, dobrze nogi zabolą, jak się za broną nabiega, a przy żniwie grzbiet trzeszczy, przy zwózce oczy na wierzch wyłażą, a potem trzeba cepem machać, to też nie lekka zabawka; trzeba ziarno wywiać, oczyścić, do młyna zawieźć... i tu dopiero jest mąka, z której baba chleb piecze. A, Icku, nie tak się ten chleb w piecu piecze, jak człowiek co musi koło niego robić od samego początku! Ale też wiecie o tem Icku, że w moim chlebie jest tylko czysta mąka, woda, trochę kwasu i sól; no i kawałek liścia kapuścianego na podkładkę... więcej nic...

— A co więcej może w moim chlebie być?

— Inna całkiem mąka i wszystko inne. W waszym chlebie zdybie się i przekleństwo i żal i płacz i krzywda ludzka i szachrajstwo.

— Tfy!

— Ciągnęliście chłopca za język, chłop tedy przemówił.

— Wiecie wy, Marcinie, dajcie wy spokój, ja was proszę.

— To nie równać waszego chleba z moim, bo mój co innego, a wasz co innego.

— Kto równa? co równać! chleb jest chlebem, wasz, mój, wszystko jedno.

— A, nie jedno!

— Niech będzie i tak, co ja z wami mam się sprzeczać! wy swoje, ja swoje... ja wcale nie mam chęci do gadania, mnie się chce spać, pozwólcie mi spać.

— Alboż ja wam bronie? Śpijcie sobie, skoro wasza wola; a chcecie nie spać, to nie śpijcie, tylko według onego chleba, to wam powiadam, że ja mam chleb mój, a wy macie... nasz.

— Wielka szkoda Marcinie, że wy jesteście taki mądry, wy się nie uchowacie.

— Was na doktora prosić nie będę.

Rzekłszy to, Marcin znowu ziewnął, aż się echo po lesie rozległo i zaczął głową kiwać. Po chwili spał jak zabity, w postawie siedzącej; szkapa powoli wlokła ciężki wasąg po piasku.

Icek zapiął kapotę na wszystkie guziki, kołnierz podniósł do góry, ręce w rękawy wtulił, bo nad ranem chłodny wietrzyk się zerwał.

Wielki myśliciel nie mógł usnąć; było mu bowiem i zimno i przykro.

Taki Marcin, taki chłop, cham, grubijanin, bez żadnej oświaty i edukacji, nie umiejący ani czytać, ani pisać, ośmiela się mówić przykre słowa i komu? Uczonemu, nabożnemu Ickowi, prawemu dziecku Jakóba, osobie, której z samego prawa należy się dziedzictwo świata. I kto? on, taki parobek, towarzysz wołu i konia; robak grzebiący w ziemi... fe!

I jak tu nie emigrować, jak nie uciekać z takiej paskudnej ziemi, na której godny człowiek nie ma godności, honorowemu nie oddają honorów, gdzie nawet chłop chce być mądrym i mieć swoje zdanie.

Uciec, uciec na koniec świata, za dziesiątą granicę, porzucić to gniazdo niewdzięczników, nie znających się na rzeczy, na ludziach, na niczem!...

Niech ich dyabli wezmą!

Ickowi pilno do miasteczka, radby tam stanąć lotem ptaka, ale Marcinowa kobyła ptakiem nie jest; wlecze się noga za nogą i gdyby nie Marcin — który, choć przez sen, macha jednak biczem od czasu do czasu — stanęłaby niezawodnie.

Icek trąca chłopa w ramię.

— Marcinie — woła — Marcinie!

— A co?

— Czy my dziś zajedziemy nareszcie?!

— Jak Bóg da, to i zajedziemy.

— Ale mnie jest bardzo pilno...

— Do woli waszej...

— Kiedy ja mówię, że mnie się bardzo spieszy, ja chcę zaraz być w mieście.

— A to sobie bądźcie, któż wam broni?

— Daleko jeszcze?

— Nie widać i nie mam kocich ślepiów, żebym dojrzał po nocy miasto o milę drogi.

— Mila drogi, to jeszcze cała mila; ja was proszę, Marcinie, wy jedźcie prędzej.

— A niech Icek pogada o tym interesie z moją kobyłą, ja przecie wozu nie ciągnę...

— Zawsze, wy Marcinie, jesteście grubijanin.

— Jeszcze nie jestem, ale jak mi dogadywać zaczniecie, to mogę być.

Zaczęło świtać, na horyzoncie zarysowała się królująca nad miasteczkiem wieża kościelna.

III.

Już Icek był zupełnie gotów do drogi, wyprzedził swoje ruchomości, spakował niezbędną garderobę i pościel, wykwipował na drogę żonę i dzieci. Wszystko słowem, było przygotowane, tylko siadać na furę, z fury do wagonu, z wagonu na okręt, przebyć morze i znów kawałek ładu w wagonie i na furze — i znaleźć się w kraju innym, gdzie wszystko jest dobrze, doskonale, gdzie całkiem inny smak życia, inny honor i inny handel.

Zacznie się nowa egzystencja, ani podobna do dzisiejszej; piękna, wspaniała. Icek wyobraża już sobie w myśli ten kraj obiecany, złożony z samych szynkarzy, kupców, faktorów... Śliczny kraj, każdy będzie w wielkiem poszanowaniu i honorze. W jedwabnych szatach, w sobolowych szubach, damy zaś w klejnotach i perłach. Każdy będzie wygodnie siedział sobie na kanapie w salonie, lub przed chałupą na progu, palił fajkę, rozmawiał o najnowszych nowościach, lub też, jeżeli jest uczony, będzie się zagłębiał w starych, nabożnych księgach.

Wszyscy tam będą swoi: sędziowie, wojownicy, administratorowie, finansiści. Icek myśli, że będzie senatorem; ten urząd bardzo mu się uśmiecha. Icek lubi sprawy, zna kodeks, onby potrafił odwrócić kota ogonem, wykrećić każdy interes mądrze i jak się należy. Od tego ma przecież głowę, a głowie tej może ufać. Jest wypróbowana. Zdarzało się — bo chodzą po świecie szkaradne wydarzenia — że się jakiś żydek rozminął z kodeksem i że mu na drodze stanął sąd, a za sądem kawałek kryminału, wymyślonego na to, żeby porządni ludzie nie mogli podług swego własnego upodobania handlować. W takich wypadkach zwykle odbywały się narady i sesje nad pytaniem: w jaki sposób biedaka prześladowanego przez los i złych ludzi ratować? Icek brał zawsze udział w takich naradach i bardzo sobie psuł głowę, ale tę miał pociechę, że nie psuł jej na próżno. Nieraz zdawało się, że nikt nic nie wymyśli, nie poradzi, nie wynajdzie żadnej kombinacji, tymczasem Icek poradził; w jego głowie wysmarzyła się taka kombinacja, tacy świadkowie, takie *alibi*, że tylko zachwycać się i podziwiać!

(Dokończenie nastąpi).

KLEMENS JUNOSZA.





WŁADYSŁAW hr. KOZIĘBRODZKI.

WSPOMNIENIE POŚMIERTNE.

»Ani z soli, ani z roli, ale z tego co mnie boli« mawiał Czarniecki, zdroszczającym mu wzrastania w sławę i znaczenie. To samo niemal mógł być powiedzieć ś. p. Władysław Koziębrodzki. Nie szukaniem popularności, nie kłanianiem się przed większymi i mniejszymi ołtarzami politycznej wielkości, nie elastycznością swych zasad, ale twardą i niezmordowaną pracą, walką otwartą z przeciwnikami, stałością charakteru, bezgraniczną odwagą w wykonywaniu swych obowiązków, zasłużył sobie na szacunek i ogólne uznanie w narodzie. Bez protekcji, bez poparcia, walczył całe życie, ufając tylko własnym siłom. Szedł prostą drogą za gwiazdą miłości kraju, która mu przyświecała i wiodła go do celu. Szedł całe życie nie oglądając się ani na prawo ani na lewo, nie robiąc ustępstw ze swych przekonań, nie podążając, gdzie otwarcie przejść nie mógł. Józef hr. Męciński, żegnając imieniem kolegów sejmowych zwłoki ś. p. Władysława, słusznie powiedział: »Zmarły mógł mieć wielu przeciwników, bo nieugiętym był w swych zasadach, ale nie miał ani jednego nieprzyjaciela, gdyż wszyscy szanować go musieli dla jego niezłomności, dla dobrej wiary zawsze i na każdym kroku, dla prawości, sumiennosci i pracowitości, która w sejmie stała się przysłowiową; nie żądał on nigdy nic dla siebie, ale żadna nawet drobnostka nie była mu obojętną, gdy takowa łączyła się z dobrem kraju«.

Władysław hr. Bolesta Koziębrodzki, urodzony w Kołodziejówce, z ojca Adama i matki Matyldy Zagórskiej, dzieciństwo swoje spędzał w Chocimierzu. Po sprzedaniu tego dziedzicznego rodzinnego majątku, rodzice jego przenieśli się do Krakowa dla wychowania dzieci: Karoliny, Władysława i Kazimierza. Tu nieboszczyk skończył — jako uczeń celujący — instytut techniczny, a później, po wyjeździe swym za granicę, uczęszczał przez pewien czas na wykłady do Collège de France i Sorbony w Paryżu. Duch jego pełen zapału, miłujący ojczyznę i ogólną sprawę wolności narodów, objawił się już czynnie w dziesięcioletnim chłopcu. Na wiosnę r. 1849 wraz z trzema rówieśnikami powziął zamiar walczenia za niepodległość Węgier i wybrał się w drogę za Karpaty. Ś. p. Władysław lubiał nam młodszym opowiadać o tej wyprawie. Z trzema towarzyszami obmyślił cały plan kampanii. Zdobywszy dwa pistolety, z których jeden pozbawiony był kurka, zgromadziwszy skarb podróżny w sumie 2 złp. i 20 groszy, pożegnawszy cichemi ale rzuwemi łzami penaty domowe, pewnego dnia, rankiem, bohaterska czwórka ruszyła w drogę. Jednemu jednak już przy podgórskim moście zbrakło odwagi. Wrócił do domu i zdradził zamiar kolegów. Drugi zaszedł tylko do Wieliczki; Władysław Koziębrodzki z Jasiem Zakliką dotarli aż poza Gdów. Fundusze się wyczerpały, nogi dzieciakom popuchły od marszu, siedli tedy przy gościńcu, niewesołe myśli snu-

jąc o dalszych losach zamierzonej wyprawy. Tutaj dopędził ich hr. Adam i zabrał malców do domu. Nie bardzo srożył się na nich, ale rzekł im łagodnie: »Teraz się uczcie, wzrastajcie w siły fizyczne i intelektualne, a i na was przyjdzie czas i wy kiedyś walczyć będziecie za wspólne nam ideały«. Przełożony zakładu naukowego, do którego uczęszczali nasi emigranci, mniej widać był pobłażliwy, bo po konferencji z panem dyrektorem widziano dzieci wychodzące z jego kancelarii z oczami czerwonymi od łez. Ale już wtedy Władysław dał dowód siły i hartu charakteru: przyznał się do winy, ale oświadczył zarazem, że to on namówił kolegów do wyprawy.

W piętnastym roku życia wiąże się Koziębrodzki z sześcioma przyjaciółmi — pomiędzy którymi byli Mieczysław Dzieduszycki i Kazimierz Miczyński — w kółeczko literackie, zasilające *Gwiazdkę Cieszyńską* powieściami i poezjami. Były to jego pierwsze próby pracy literackiej. Podpisywał się pseudonimem: »Nieżgoda«. Po ukończeniu nauk mieszkał ś. p. Władysław w Rącznej pod Krakowem, gdzie po śmierci ojca i siostry gospodarował w tym zadzierżawionym majątku. Tu już pisywał większe i udatniejsze powieści. W latach 1861 i 1862 ruch narodowy w Warszawie i nadana w Austrii konstytucja, wyrwały i Galicyę z uśpienia. Życie publiczne szerszem zaczęło płynąć korytem, a jak w Warszawie, tak też w Krakowie i we Lwowie, objaw tego życia krystalizował się w Towarzystwach rolniczych. Koziębrodzki od lat dziecinnych, aż do ostatniej godziny swego życia zostawał w stosunku najserdeczniejszej i najszczerzej przyjaźni z Mieczysławem hr. Rejem, a ta ich trwała przyjaźń znana była w całym kraju. W roku też 1861 występują obydwa druhowie wspólnie na szerszej arenie pracy publicznej. Odczytali oni na ogólnym zgromadzeniu Towarzystwa rolniczego odpowiednie wypracowania, które pozyskały szczerze uznanie i zwróciły na nich oczy, zaś zachęciły młodzież w kraju do poważniejszej myśli i pracy publicznej. Na drugi rok widzimy obydwoh przyjaciół sekretarzami ogólnych zgromadzeń Towarzystwa rolniczego i zakładającego się ogniowego. Z ich też inicjatywy powstaje instytucja t. z. korespondentów przy Towarzystwie rolniczym, która następnie po wybuchu powstania, przetrzymała się na organizację narodową.

Gdy w Galicyi rozwijać się zaczął konstytucjonalizm i ludzie swobodniej oddychać mogli, w tymże samym czasie nad Warszawą i Królestwem gromadziły się pełne gromów chmury, a dwa stronnictwa — stronnictwo ruchu i spokojnej, organicznej pracy — walczyły z sobą w cichości. Stronnictwo ruchu t. z. komitet czerwony, przygotowujący powstanie, pragnął zapewnić sobie pomoc Galicyi i w tym celu zainicjował zjazd do Lwowa ludzi wybitniejszych, po jednym lub dwóch delegowanych z każdego galicyjskiego obwodu. Zjazd ten odbył się w zimie r. 1862, w pomieszkaniu Władysława Koziębrodzkiego i Mieczysława Reya. Tego ostatniego, pomimo bardzo młodego wieku wybrano przewodniczącym. Dzień pierwszy obrad zszedł na informacjach o stosunkach pod zaborem rosyjskim, zaś delegowani komitetów warszawskich nie pokazywali się na zjeździe, ale tylko przez zaufane sobie osoby z nim się znosiły. Ogólny nastrój był tego rodzaju, że przeciwko zamiarowi wywołania zbrojnego narodowego ruchu nikt nie miał odwagi wystąpić. Dopiero ś. p. Władysław i jego przyjaciel ośmielili się bardzo stanowczo przedstawić

najgorsze skutki powstania. Energicznem swem wystąpieniem zachęcili oni i innych do otwartego wypowiedzenia swego zdania, to też powoli rosła gromadka zasadniczych przeciwników zbrojnego ruchu, a do naszych dwóch przyjaciół przyłączyli się niemal zaraz Mrozowicki i Antoni Jabłonowski, później zaś: Bronisław Ujejski, Leonard hr. Piniński i Jakubowicz. Zgromadzenie postanowiło zasięgnąć zdania w tej tak ważnej sprawie, najwybitniejszych ówczas mężów kraju i wysłało Mrozowickiego do Krasiczyna; Józef Szujski miał pomówić ze Smolką, a dwóch innych — zdaje mi się Pawlikowski i Paszkowski — z Ziemiałkowskim. Jeden tylko Mrozowicki przywiózł na drugi dzień zgromadzeniu nieco jaśniejszą odpowiedź, t. j. radę: »Trzymajcie się zdania Koziębrodzkiego i Reya«. Ponieważ dyskusja rozstrzeliwała się nieustannie, więc też do niczego doprowadzić nie mogła. Przyjęto zatem wniosek przewodniczącego: wybrania komisji z poleceniem wypracowania programu narodowego, odnoszącego się do kwestyi powstania, któryby mógł służyć za substrat dalszych obrad. Do komisji tej powołało zgromadzenie: ś. p. Władysława, Reya, Mrozowickiego, Jabłonowskiego i Jakubowicza. Zaraz też wieczorem grono to zebrało się w mieszkaniu Jabłonowskiego, a gdy obrady trwały za długo, dwaj druhowie serdeczni wzięli się do pióra i spisali krótki, treściwy program, streszczający się w trzech przeważnie punktach, brzmiących mniej więcej w ten sposób: »Nadzieja pomyślnego skutku zbrojnego powstania narodu może być tylko, a) w razie wielkiej wojny zewnętrznej przeciw Rosyi i odpowiedniej gwarancji stron z Rosyą wojujących, na którą obecnie się nie zanoszą; b) w razie socjalno-politycznej rewolucyi w Rosyi (o której mówią nam, że ma rychło wybuchnąć), ale tylko wtedy, gdyby rewolucja powaliła carat i wprowadziła Rosyę w taki rozstrój, iżby ona nie była w możności — przynajmniej na razie — wyprowadzić w pole znacznych sił przeciwko powstaniu polskiemu; c) po za temi dwoma warunkami, zgromadzenie oświadcza się stanowczo przeciwko powstaniu; nie wierzy w podniesienie się mas ludu, bo jeżeli rząd powstańczy daruje ludowi pańszczyznę, to rząd rosyjski, szafując z cudzej kieszeni, niezawodnie przyrzecze nie tylko zniesienie pańszczyzny, ale i darowanie mu części gruntów dworskich. Galicya tedy, oświadcza się przeciwko powstaniu, nie przyrzeka mu również swojej pomocy«.

Program powyższy, odczytany na zgromadzeniu w dniu następnym przez Mrozowickiego, po krótkiej dyskusji został w całości przyjętym.

Szerzej nieco podałem tę część działalności ś. p. Władysława, według opowiadania członków wymienionego zjazdu, oraz według czytanych przeź mnie zapisek współczesnych jednego z jego uczestników. Podałem zaś według zupełnie wiarogodnych źródeł, gdyż jest to kartka do historii powstania 1863 r. Fakt sam zaś świadczy wymownie o odwadze przekonania, tudzież o rozumie i darze przewidywania młodzieńca, jakim wówczas był Koziębrodzki. Gdy jednak branką do wojska zmuszono niejako Królestwo do nieszczęśliwego powstania i takowe przyszło do skutku, rzekł wówczas ś. p. Władysław do swoich przyjaciół: »Robiliśmy, cośmy mogli, aby uniknąć nieszczęścia, ale stało się. Podcięto linę i zepchnięto nawet narodową na burzliwe fale groźnej przyszłości. Nam obecnie nie wolno mówić, żeśmy mędrsi od całego narodu, musimy więc i my wsiąść wraz z innymi na ten nie-

szczęśliwy statek i wspólne dzielić niebezpieczeństwa». Tak też uczynił, a z nim i jego druhowie. Czas jakiś spełniał Koziebrodzki obowiązki referenta do spraw galicyjskich przy rządzie narodowym w Warszawie. Następnie wysłany do Paryża, pracował wraz z Władysławem ks. Czartoryskim, Gałęzowskim, Ordega i Ruprechtem w zachodniej ambasadzie rządu narodowego; w misjach dyplomatycznych jeździł do Londynu i Konstantynopola; często też udawał się do Warszawy. W jednej z tych podróży Moskale zatrzymali pociąg tuż za granicą pruską, gdyż spodziewano się starcia z oddziałem Taczanowskiego. Ś. p. Władysław, zawsze sumienny w spełnianiu obowiązku, a nieznający co to osobiste niebezpieczeństwo, nie chciał czekać na uwolnienie toru kolejowego, lecz dobrze zapłaciwszy chłopca z parą końmi, puścił się drogą ku Warszawie, lecz już na pierwszej mili wpadł w sam środek bitwy wojsk rosyjskich z oddziałem Taczanowskiego, a że jechał od strony, z której stali Moskale, przeto natychmiast został pojmany przez ich forpoczty i wraz ze swą torbą podróżną, w której miał przechowane papiery — w owych czasach wprost na szubienicę wiodące — wpakowany został tymczasowo do chlewa, który zajmowała jego prawa właścicielka, otoczona małymi prosiętami. Siedział skulony w tem prowizorycznym więzieniu, słuchając, jak kule moskiewskie i polskie uderzały o ściany jego karceresu. Szczęściem dla ś. p. Władysława, Moskale po przegranej bitwie cofnęły się, oczywiście zapominając o jeńcu, a oddział powstańczy poszedł w inną stronę. W wiosce nastała cisza. Dopiero po dziesięciu godzinach niezbyt miłego oczekiwania, jakaś poczciwa dusza otworzyła chlew i wypuściła zeń równie Koziebrodzkiego, jak i stałych mieszkańców tego schronienia.

Innym razem znów z wiosną 1864 roku jechał ś. p. Władysław prosto z Francji do Warszawy. Aresztowano go na granicy za Toruniem, gdyż o jego wyprawie nadeszła denuncjacja agencji rosyjskiej z Paryża. Odstawiono go prosto do cytadeli i zamknięto w kazamatach, a gdy rano obudził się siedząc na tapczanie, bo na nim leżeć nie było można, przejął go zimny dreszcz, gdy zobaczył krwią napisane na ścianie słowa: »Oj! biją, biją!« Indagowano go najczęściej w nocy na wpół ubranego, prowadząc z pośpiechem do sali indagacyjnej. Okazywał on zawsze tyle przytomności umysłu w swych odpowiedziach, że po trzech tygodniowym więzieniu, odstawiono go pod eskortą do granicy pruskiej i tam go wolno puszczono.

Powstanie się skończyło, a ś. p. Władysław z przyjacielem swoim Mieczysławem hr. Reyem znaleźli się nad brzegami Lemanu, gdzie w małym miasteczku Nyon spędzili razem dwa i pół roku. Nie tracili czasu na próżne żale. Obaj przyjaciele powiedzieli sobie: »Nie wiele jeszcze umiemy, krajowi potrzeba będzie ludzi wykształconych, którzyby mu należycie służyć mogli«. Zabrali się więc gorąco do pracy, oddając się z całym zamiłowaniem naukom społecznym. Pracowali systematycznie po 8—10 godzin dziennie. Wtedy to w chwilach wolnych od poważnych badań, zaczął Koziebrodzki przygotowywać się do zawodu komedyopisarskiego. Studyował starożytną i nowożytną literaturę teatralną, a nawet zaczął pisać historię dramatu w ogólności, lecz takowej nie dokończył.

Po powrocie do kraju osiadł ś. p. Władysław w Ludwinowie, pod samym Krakowem i tam nakreślił przeważną część swoich utworów scenicznych, które cieszyły się i cieszą wielkim i zasłużonym roz-

głosem. Nie kuszę się oceniać je ani ze stanowiska literackiego ani teatralnego, wiem bowiem, że kompetentne pióro zda z nich należyłą sprawę w łamach *Świata*.

Okolo 1876 r. rozpoczyna się działalność ś. p. Władysława na arenie parlamentarnej, gdyż w tym czasie został on wybrany posłem na sejm krajowy, przez szlachtę tarnowską. W tymże też czasie wchodzi on w związki małżeńskie z Emilią z Głogowskich i osiada w zakupionych pod Jarosławiem Chłopicach. Zdawało się, że skołatanemu burzą losów, zaświtało nareszcie szczęście stałe. Ale niestety trwało ono rok tylko zaledwie. Wprawdzie było wielkie! — najłżejsza chmurka nie zaciemniała błękitnego firmamentu kochających się małżonków, zwłaszcza, że i przezacna matka Władysława zamieszkała przy nich. On dzieląc serce swe pomiędzy dwa gorące i najświętsze uczucia, z wrodzoną sobie energią, pracował znowu; zajął się gospodarstwem rolnem z wielką znajomością rzeczy, z niezmiernym zamiłowaniem i pilnością, to też dzięki jego umiejętnej pracy, zrujnowany przedtem majątek, poczwórnie zaczął przynosić dochody. W rok po ślubie — ubóstwiana matka Władysława zasłała śmiertelnie. Los tak zdarzył, że w tej samej godzinie, w której sędziwa rodzicielka Bogu oddawała ducha, w drugiej części domu przychodziła na świat Andzia, pierwsza córeczka zacnego obywatela i utalentowanego pisarza. To też łyzy żalu i radości jednocześnie płynęły z ocz osieroconego syna i szczęśliwego ojca. Dziecko to urodzone w tak smutnej chwili pokochał ś. p. Władysław niezwykłą miłością i nigdy się z niem nie rozstawał. Gdy małeńka Andzia liczyła rok życia, poczciwy tatuś dźwigał ją niemal nieustannie na swoich ramionach. Nieraz, gdy kto ze znajomych przybył do Chłopic, spotykał Koziebrodzkiego gdzieś daleko nad drogą, doglądającego robót polnych, z małeńką dziewczynką na rękach. Nosił ją tak godzinami całemi, obchodząc gospodarstwo, a nawet, gdy pisał, dzieciątko siedziało mu zawsze na kolanach i często zasnęło smacznie na piersi ojcowskiej. Wtedy on nie ruszał się, tłumiąc oddech, aby córeczki nie zbudzić. — Powiedzieliśmy już wyżej, jak niedługo cieszył się całą pełnią rodzinnego szczęścia. Po urodzeniu się drugiej córki, — młoda i śliczna żona Władysława zapadła na ciężką i nieuleczalną chorobę. Nad wyraz bolesnymi były trzy lata następne, trzy lata ciągłej obawy i niepewności, to krótkotrwałych błysków nadziei, to czarniejszej po nich rozpacz. Lekarze wysłali ś. p. Emilię do ciepłych krajów, z których po trzechletniej wspólnej wędrówce, powrócił do kraju tylko cień jej męża, przywożąc go z sobą zwłoki ukochanej żony, aby je pochować przy trumnie matki na cmentarzu chłopskim. Powiedziałem, że powrócił tylko cień ś. p. Władysława, bo istotnie wróciło tylko wynędzniałe ciało z zarodem choroby — która go tak przedwcześnie nam zabrała — ale ducha, myśli, wiary w siebie, zda się, że już w nim nie było wcale. Nawet w otoczeniu najdroższych mu przyjaciół siadywał całemi dniami jakby nieprzytomny; mniemać można było, że nie słyszał co do niego mówiono. Zagłębiał się w czarnych dumaniach i wybuchał co chwila konwulsyjnym płaczem. W owym czasie, tak w sejmie, jak i w komisjach ani jednego nie przemówił słowa. Obserwujący go badawczo koledzy nabierali przekonania, że nieszczęśliwy Koziebrodzki nie wie o jakich sprawach mowa, co się w około niego dzieje. Bolesć tę wszyscy uszanować umieli. Wrodzona energia i mi-

łość obowiązku nakazały mu jednak zwalczyć przynębiający go smutek, a że wiedział, iż praca jest jedynym na wszelkie moralne zło lekarstwem, przeto powziął myśl spisania historycznego przebiegu wszystkich spraw w sejmie podjętych od pierwszego posiedzenia naszego ustawodawczego ciała galicyjskiego. Sprowadził do Chłopic całą bibliotekę sejmową z lat dwudziestu kilku i zagłębił się w tem niezmiernie nużącym zajęciu; półtora roku nie wychylił się z domu, pracując po szesnastu godzinach dziennie, a praca ta wydała »Repertoryum sejmowe«, bez którego dziś ani Wydział krajowy, ani żaden z posłów nie mógłby rozwinąć skutecznej działalności. Po ukończeniu wydania »Repertoryum« ś. p. Władysław powrócił do życia z całym dawnym zasobem sił umysłowych, z bogactwem pełną znajomością wszystkich spraw poruszanych lub załatwionych przez sejm i Wydział krajowy. — Ówczesny marszałek krajowy, dr. Zyblikiewicz, złożył ś. p. Władysławowi gorące słowa publicznej podziękności za tę — jak się wyraził — »iście benedyktyńską pracę; nie przypuszczał, aby ktokolwiekby w kraju miał odwagę się jej podjąć, a tem bardziej, tak znakomicie dokończyć«. Od tego czasu rozpoczyna się powieśćby można gorączkowa, ale niezmiernie dodatnia działalność Koziębrodzkiego we wszystkich kierunkach pożytku krajowego. W sejmie staje się on niezmordowanym pracownikiem, ślęczącym dnie i nocą nad olbrzymim materiałem wniosków i ustaw, jakie każda kadencja sejmowa ma do przetrwania. Trzeba by księgę napisać chcąc wymieniwać i omówić wszystkie zadania parlamentarne, w których nieboszczyk brał udział; ramy pośmiertnego wspomnienia wystarczyć na to nie mogą. Dość powiedzieć, że niemal w każdej sprawie głos zabierał nie jak dyletant, ale jako poseł głęboko w nią wtajemniczony, tak, że koledzy wzajem się zapytywali, jakim sposobem znajduje Koziębrodzki tyle czasu, aby się z każdym poruszonym

przedmiotem tak gruntownie obeznać i o każdym wyrobić sobie tak pewne zdanie. Tajemnicą tej zagadki była niezmierna bystrość i jasność umysłu, opierająca się na wynikach wytrwałej i sumiennej pracy.

Nie pomnę, ile lat marszałkował ś. p. Władysław Koziębrodzki w Radzie powiatowej jarosławskiej, ale jak wszędzie, tak i tutaj gorliwość jego była niezmierna. Nie lubił spuszczać się na nikogo; o ile to było możliwem sam wszystko załatwiał; sam jeździł

GRODZKI.



STUDYUM.

po gminach jako lustrator kas gminnych pożyczkowych, dróg powiatowych i gminnych, oraz majątków gminnych, a wszędzie żywym słowem pouczał urzędników gminnych o prowadzeniu całej administracji, o prawach i obowiązkach gmin. Powiat też jarosławski za czasów jego administracji zagospodarowany został wzorowo, ale za to temi nieustannymi trudami zdrowie jego coraz bardziej się nadwyrężało, tak, iż z wielkim żalem ludności musiał złożyć urząd, zbyt ciężki dla jego wyczerpującego. Po śmierci ś. p. Artura hrabiego Potockiego zamianowanym został członkiem Rady nadzorczej »Macierzy polskiej«, w której głos jego, jako dokładnie znającego stosunki ludu, był wysoce ceniony. Wiadomo wszystkim, że jeździł w imieniu Wydziału krajowego (a był on zastępcą członka Wydziału krajowego, gdyż rzeczywistym członkiem nigdy być nie

chciał, choć znaczna część posłów niejednokrotnie go o przyjęcie tego mandatu prosiła) do Paryża, aby sprowadzić do kraju zwłoki Mickiewicza; — a jak świetnie wywiązał się z tego zadania, o tem w owej chwili pisano obszernie. Długi przeciąg czasu przewodniczył jarosławskiemu oddziałowi Towarzystwa rolniczego, poświęcając mu każdą wolną godzinę z najgorętszym oddaniem się jego interesom, tam bowiem — co dlań było najmiłszem — solidarnie łączyła się szlachta z ludem w wspólnej im sprawie. Wiejskie Kółka rolnicze i czytelnice miały w ś. p. Władysławie najgorliwszego przyjaciela i protektora. Nie było po-

WIELKOPOLSKA W OBRAZACH przez L. STASIAKA.



GNIEZNO.

Trumna św. Wojciecha.— Najstarszy tekst »Boga Rodzicy« i nuty do niej z 1408 roku.
 Ornamenty kute w nawach katedry gnieźnieńskiej. — Relikwiarz z głową św. Wojciecha.

święcenia, jakiegoby nie spełnił gdy chodziło o dobro tych instytucyj, w których upatrywał dźwignię, podnieść mającą moralnie i materialnie znaczenie stanu włościańskiego. To też chłopi, patrzący na jego gorliwą pracę, w imię ich dobra podjętą, całym sercem do niego się przywiązali, darząc go najzupelniejszym zaufaniem. Przy ostatnich wyborach do Rady państwa, gdy ks. Jerzy Czartoryski powołany na członka Izby panów, nie mógł już dalej kandydować z okręgu jarosławskiego z kuryi gmin wiejskich, cała ludność tego okręgu zażądała stanowczo, aby Władysław Koziębrodzki przyjął mandat po ks. Czartoryskim. Podjęcie się tego nowego obowiązku było dlań niemal niemożliwym, gdyż obarczony najróżnorodniejszymi zajęciami w kraju, musiałby część takowych poświęcić, aby nowej dlań misji uczynić zadość. To też wymawiał się, usprawiedliwiał, ale gdy uporu ludności przełamać nie zdołał, a do prośb włościan przyłączyli swoje wszyscy obywatele całego okręgu, wraz z komitetem centralnym przedwyborczym, którego był stałym członkiem od pierwszego roku wejścia swego do sejmu, uległ — i mandat przyjął, poddając się woli ogółu w imię karnośći narodowej, zastrzegając jednakże, iż złoży go po pierwszej sesji Rady państwa. Tutaj atoli znowu Koło polskie nie pozwoliło mu zrzec się mandatu, oceniło bowiem odrazu należycie zdolności i jasny pogląd na sprawy publiczne nieboszczyka. — Gdy ks. Sanguszek — zostawszy marszałkiem krajowym — opuścił stanowisko prezesa w Towarzystwie tatrzańskim, to ostatnie jednogłośnie wybrało Koziębrodzkiego swoim naczelnym przewodnikiem. Położył on też dla niego olbrzymie zasługi, wyrabiając — między innymi — w Wydziale krajowym bardzo znaczne subwencje na zwirowanie dróg do Zakopanego i w Zakopanem samem. Umiał zainteresować Wydział krajowy przyszłością tej uroczej stacji klimatycznej i dzięki temu zajęciu przeprowadził cały system dróg bitych oraz ulic, od urzędzenia których zależał pomyslny rozwój najpiękniejszej tatrzańskiej miejscowości, posiadającej dla kraju całego bardzo wysokie znaczenie. Wspólnie z Władysławem hr. Zamoyskim był najgorliwszym obrońcą gór naszych i Morskiego Oka, które Węgrzy nieprawnie od naszej ojczyzny oderwać pragną. Był wiceprezesem galicyjskiego Towarzystwa rolniczego, oraz przewodnikiem jednej sekcji przyszłej wystawy krajowej. Mimowoli nasuwa się tu pytanie: jakim sposobem mógł on podolać tak wszechstronnie rozległej pracy? Zaprawdę tylko gorąca miłość ojczyzny mogła wzbudzić w nim tak nadzwyczajną energię, dzięki której czynił zadosyć naraz tylu obowiązkom. Nie zaniedbywał żadnego; czego się jał — spełniał; wszędzie umiał stać się użytecznym pracownikiem lub kierownikiem. Chwilki czasu nie zmarnował nigdy. Pomimo wyteżonej działalności na polu dobra publicznego, zajmował się gorliwie wychowaniem swych córek i gospodarstwem w Chłopicach, a nadto, jako literat nie zaniedbywał pióra. W ostatnich czasach stworzył prześliczny dramat: »Nauczycielka«, premiiowany na konkursie warszawskim, który znaczenie jego w naszym piśmiennictwie teatralnem podniósł wysoko. Już to przyznać trzeba, że marzeniem przedwcześnie zmarłego obywatela i statysty było: oddać się wyłącznie literackiej pracy, bo sercu jego była ona najmilszą. Czuł w duszy święty ogień twórczości, która nieprzepartą siłą ciągnęła go do pióra. Mawiał często do najzaufańszych przyjaciół, że czułby się w siódmym niebie, gdyby mu dozwolono zamknąć się z dziećmi

w Chłopicach, choć na lat parę. Istotnie coraz to świeższe pomysły cisnęły się do jego głowy. Nieraz w nocy zrywał się z postania, zapalał lampę, siadał przy biurku i pisał tak długo, dopóki obowiązek publiczny lub interes realniejszy nie zmusił go do rzućenia pióra — z prawdziwą rozpaczą. W ostatnich tygodniach życia, gdy cierpienia fizyczne złamały w nim hart woli, tylko rozmową o literaturze można było chorego rozerwać i uśmiech wywołać na jego usta.

Czy Wł. hr. Koziębrodzki należał całą duszą do którego z stronnictw krajowych? Nie. Umysł jego i patriotyzm wyższymi były od wszelkich stronnictw celów. Nie patrzył on nigdy »kto mówi«, ale »co mówi« i szedł zawsze za tem, »co kto mówi« — jeśli dobrą i pożyteczną rzecz podnosił — bez względu do jakiego stronnictwa mówiący należał. Człowiek takiej wyższej natury, musiał stać w pośrodku i łączyć się tylko z ludźmi nienależącymi do zwolenników skrajnych kierunków; to też należał on w sejmie zrazu do klubu t. z. »Ateńczyków«, a następnie trzymał się wiernie klubu »środków«, którego był jednym z pierwszych założycieli.

Już z końcem grudnia zeszłego roku zapadł nieodżałowany Władysław Koziębrodzki na ciężką bardzo i skomplikowaną chorobę. Stan jego zdrowia pogorszył się znacznie przez wyjazd do Kozłowa (do ciotki żony, p. Kielanowskiej, przy której natenczas bawiły jego córki) i następnie do Lwowa. Gdy przed końcem stycznia powrócił do Chłopic, lekarze uznali chorobę za nie do uleczenia. Na tydzień przed zgonem mówił do Dra Marynowskiego z Jarosławia, który pielęgnował go z prawdziwie braterską pieczołowitością i na krok nie odstępował: »Wiem, że choroba moja jest śmiertelną, ale czyli sztuka wasza nie potrafiłaby mi przedłużyć życia i dodać nieco sił, bo tak pragnąłbym żyć jeszcze. Mam tyle dzieł do ukończenia, tyle rozpoczętych zadań do przeprowadzenia, a w głowie tyle myśli i chęci służenia ukochanej ojczyźnie. Biedne moje dzieci zostaną same na świecie«. Tu łzy przerwały mu mowę. Płakał nad losem sierot przedewszystkiem. Długo w żalu nie mógł się utulić. Dnia 11 lutego, czując zbliżający się koniec życia, zawezwał pomocy duchownej, wypowiedział się i przyjął ostatnie święte namaszczenia. Zawezwał dzieci, i długo dawał im nauki, jak żyć mają; pobłogosławił je i pożegnał się z nimi, tudzież z domownikami. Ochmistrzyni swych córek prosił, aby nie opuszczała jego sierot, aby je poleciła sercu i opiece babki, p. Kielanowskiej. W końcu pożegnał się z bawiącym naówczas w Chłopicach Mieczysławem Pawlikowskim. To forsowne przygotowanie się na drogę wieczności, wyczerpało ostatek sił ś. p. Władysława. Dnia 13 lutego, o godzinie 8½ rano, oddał Bogu ducha na rękach Mieczysława Reya, swego najdawniejszego i najwierniejszego przyjaciela, który zamknął mu oczy, te oczy, które tak jasno i z taką miłością patrzyły na wszystko, co dotyczyło dobra narodu i ojczyzny.

Pogrzeb odbył się 16 lutego, w kościele chłopi-ckim. Był on najlepszym dowodem powszechnego uznania, jakim się cieszył zmarły. Wszystkie niemal korporacje krajowe, zacząwszy od Koła polskiego i Wydziału krajowego, przysłały delegacje, wieńce, pisma kondolencyjne dla nieszczęśliwych sierot. Pomimo najgorszych dróg, widzieliśmy w około trumny ludzi z całego kraju, od Białej aż po Zaleszczyki; od Zakopanego aż po Wołoczyska. Nastroj pogrzebowych gości był tak uroczysty, szczerzy i rzewny, że na ka-

źdej twarzy odbijał się wyraz prawdziwego nie konwencyonalnego smutku i żaloby. Wszystkie przemówienia, począwszy od mowy wygłoszonej przez ks. proboszcza Pastora, skończywszy na ostatniej: »pożegnanie przyjaciół«, wygłoszonej przez Mieczysława Pawlikowskiego, miały w sobie coś, co budziło w słuchaczach nie tylko żal za zmarłym, ale i nadzieję, że

duch zasłużonego męża nie zginął z nim razem, że wstąpił w piersi młodszych, że każdy z nas będzie go żywił w sobie, pragnąc choć w części zastąpić pracą, miłością ojczyzny i poświęceniem tę ciężką stratę, jaką cały naród poniósł przez zgon ś. p. Władysława hr. Koziebrodzkiego.

DR MIKOŁAJ REY.

SPRAWA TEATRALNA.

Kiedy w czerwcu roku zeszłego rozstrzygnąć miała krakowska Rada miejska pytanie: własny zarząd teatru, czy oddanie go przedsiębiorcy, wówczas zarysowały się w toku obrad dwa mniemania. Jedna część Rady uznawała konieczność własnego zarządu dlatego, że tylko ten system — jej zdaniem — może podnieść wysoko poziom literacki i artystyczny naszego teatru, że tylko przez oddanie sprawy repertuaru, składu personalu itp. w ręce publicznej instytucji, jaką jest gmina, można stworzyć istotnie przybytek »narodowej sztuce«. Inni — większość — sądzili, że wzięcie na siebie administracji teatralnej jest bardzo niebezpiecznym eksperymentem finansowym dla miasta, któremu nigdy, a w dzisiejszych warunkach skarbowych szczególnie, eksperymentów takich czynić nie wolno.

Nie wdaję się w krytykę tych dwóch opinii, pozostawiam na boku pytanie, czy istotnie gminny zarząd w naszych warunkach dawał jakiegokolwiek rękojmię podniesienia poziomu teatru krakowskiego — stwierdzam tylko fakta. Powtarzam więc: za zarządem miejskim wytaczano argument moralny, dobro teatru, przeciwnemu argument materialny, ryzyko pieniężne. Wiadomo, jaką była ostateczna w tej mierze uchwała Rady miejskiej.

I teraz dopiero zaczęła się komedia z pomyłek, komedia, która byłaby bardzo śmieszną i zabawną, gdybyśmy ją czytali w jakiejś humoresce Marc Twaina, ale która, że się rozgrywa u nas, a dotyczy sztuki polskiej i polskiego teatru, jest nad wyraz bolesna i smutna.

Zadanie opracowania projektu umowy między miastem a przyszłym przedsiębiorcą, oddano w ręce specjalnej komisji teatralnej, która znów powierzyła je jednemu z najgłośniejszych adwokatów tutejszych. Można było mieć nadzieję, że prawnik otrzymawszy takie zadanie do wykonania, postąpi sobie tak, jak każdy prawnik rozumny postępować musi, t. j. zbada naprzód wolę stron interesowanych, (w obecnym wypadku wolę swego mandanta, gminy) i w jej myśli, wyrażonej dokładnie w dyskusjach i uchwałach, spisze projekt kontraktu. Ponieważ zaś, jak powiedziałem, ta gmina, obawiając się finansowego ryzyka, musiała zrzec się własnego zarządu t. j. prowadzenia i kierowania teatrem, przeto zniknęła zupełnie nasuwająca się w pierwszej chwili obawa, że kontrakt będzie chybionym dla tego, iż wypracowanie jego oddano człowiekowi, nie mającemu wyobrażenia o sposobie prowadzenia teatru, o artystycznych i literackich postulatach polskiej sceny, nie rozumiejącemu wcale, jakim powinien być repertuar, skład trupy, stosunek władz teatralnych do siebie, obowiązki i prawa reżysera, stosunek aktorów do dyrektora, obowiązki służby teatralnej — jednym słowem wszystkie te tysiączne, ważne i mniej ważne rzeczy, które razem wzięte składają się na prowadzenie teatru. Zniknęła ta obawa,

powiadam, bo z chwilą, gdy gmina tego prowadzenia teatru się zrzekła, wszystkie te punkta naturalnie odpadały, pozostawało czysto prawnicze zadanie unormowania stosunku przedsiębiorcy do miasta. Można sobie wyobrazić zdumienie, przykre zdumienie, jakiego doznali ludzie, zajmujący się naprawdę teatrem, w chwili, kiedy elaborat referenta z poprawkami komisji ujrzał światło dzienne. Po długim i ciężkim, sztucznie przedłużanym porodzie, zobaczyliśmy jakiegoś potwora o dwóch głowach, a bez nóg, który, z kądkolwiek się go dotknęło, przewracał się na ziemię.

Już to nic tak nie szkodzi rzetelnemu, prostemu, lojalnemu załatwieniu sprawy, jak zbytnia finezya. A oto właśnie autor tego dziwnego projektu, przystępując do pisania go, nie poprzestał na obłożeniu się »schimlami« kontraktów z teatrów niemieckich, a więc wzorami bez żadnej dla nas praktycznej wartości, ale jeszcze postanowił być bardzo subtelnym, *très fin*. Nie stanął lojalnie na stanowisku uchwały Rady miejskiej, ale chciał w projekcie swym dogodzić wszystkim: i tym co chcieli własnej administracji i zwolennikom prywatnego przedsiębiorstwa. Rozumowanie jego było tak proste, jak każda rzecz genialna, tylko, że nie było genialne.

Otóż tak! — powiedział sobie — tamci chcieli, aby gmina prowadziła teatr, bo to podniesie poziom sceny (nie wiem czy tak jest, ale mniejsza o to); ci chcieli oddania teatru przedsiębiorcy, aby zrzucić z gminy finansowe ryzyko. Bardzo dobrze! Trzeba więc urządzić podział taki, iż gmina będzie w istocie prowadzić teatr, a przedsiębiorcy oddamy pieniężne ryzyko!

Ubliżyłbym czytelnikom moim, gdybym chciał im tłómaczyć, jaki w tej podstawowej myśli autora projektu tkwi bezsens. Wystarczy podnieść, że jest w tem błąd, który uniemożliwia wszelką dwustronną umowę, bo wypracowano kontrakt tak, jakby druga strona na świecie nie istniała, albo była jedną z tych osób, które ustawa cywilna z powodu ułomności umysłowych wyklucza od działań prawnych.

Chciałbym tylko dowieść, iż istotnie taka *societas leonina*, zabroniona już u Rzymian, mieści się w projekcie kontraktu, a potem wskazać, jakie stąd powstały w tym projekcie sprzeczności, absurda i śmieszności.

* * *

Wybrana przez Radę miejską komisja teatralna ma, jak to doskonale zestawiał K. Estreicher (w *Czasie* i broszurze), czuwać: nad gmachem, nad repertuarem (§ 5), wyborem artystów i ich gażą (§ 7), reżyserem (§ 8), występami adeptów (§ 10), uczeniem się ról (§ 11), cenami miejsc (§ 15), dekoracjami i meblami (§ 20), urządzeniem trzech przedstawień na benefis gminy (§ 23), nawet nad obsadą ról w tych benefisach, wypłatą pensji persona-

lowi (§ 24), dawaniem urlopu entreprzyzie (§ 27), przedstawieniami obcych kompanij (§ 27), inwentarzem i jego przyrostem (§ 30), temperaturą gmachu i porą ogrzewania go (§ 34), utrzymaniem czystości (§ 35), wglądaniem w księgi rachunkowe entreprzyzy i braniem z nich odpisów (§ 40), czuwaniem nad wykonaniem zobowiązań z umowy (tu pomocniczo i urzędnicy Magistratu mają prawo swoje trzy grosze wtrącać), dawaniem entreprzyzie poleceń na piśmie (§ 41), nakładaniem grzywien na entreprzyzę (§ 42), zajmowaniem się kaucją entreprenera (§ 44), oznaczaniem wysokości asekuracji sprzętów i dekoracyj (§ 45), prowadzeniem dzierżawy na rzecz gminy, a na ryzyko entreprzyzy (§ 46).

Mamy więc po prostu własny zarząd teatralny gminy za pośrednictwem komisji teatralnej. I to nic jeszcze. Ale wskutek tej strasznej nieznamości spraw teatru, jaką okazał referent w swym elaboracie, komisja ta składa się wcale nie ze znawców, broń Boże (oniby gotowi popierać dyrektora teatru, wiedząc, że na harmonii między nimi, a kierownikiem sceny polega dobro tej ostatniej); ta komisja składać się będzie najprawdopodobniej z ludzi, którzy na teatrze, jego potrzebach, warunkach życia i rozwoju rozumieją się tyle, co n. p. autor projektu kontraktu; ludzie, z których niejeden, korzystając z bezpłatnego miejsca, w dniu 1 września 1893 roku, po kilkunastoletniej pauzie, po raz pierwszy ujrzy aktorów na scenie.

To jedna strona tej »lwiej spółki«, z którą załatwiam się krótko, bo uważam za rzecz nie potrzebującą dowodu fakt, że projekt p. referenta mieści w sobie najczystsza w świecie gminną administrację teatru. Przejdźmy teraz do sprawy finansowej, która, jak wiadomo, jest cała po drugiej stronie, po stronie przedsiębiorcy, bo miasto przecież ani grosza na teatr nie obowiązuje się dawać.

Ze przedsiębiorca, jeśli w ciągu roku straci na

teatrze 10000 złr. musi je z własnej wyłożyć kieszeni, to jasne; podnoszę to tylko, aby raz jeszcze wskazać

L. ALWAREZ.



ten zabawny podział ról, gdzie gmina ma same prawa, a dyrektor same ciężary. Ale p. referent boi się, żeby czasem ten przedsiębiorca zbytecznego nie wyciągnął

zysku z teatru, więc wymyśla cały szereg pozycyj, które same dla siebie mogą każdego dyrektora zruj-

szymy *des grands mots* o ofiarach, jakie miasto czyni dla polskiej sztuki. Prawda, gmach jest ofiarą ciężką;

ależ nie należy psuć znaczenia i wspomnienia tej ofiary takimi meskineryami pieniężnymi, które dla gminy nie mają żadnej doniosłości budżetowej, a przedsiębiorcę przygniatają. Za lat kilka każdy, miejscowy czy przejezdny będzie uważał za rzecz całkiem naturalną, że Kraków postawił i utrzymuje piękny przybytek narodowej sztuki, ale dowiedziawszy się, że miasto pobiera z gmachu czynsz najmu, jakiegokolwiek wysokości, wzruszy ramionami i użyje wiedeńskiego wyrażenia: *Schmutzerei*.

Bardzo sprytnie, ale bardzo mało rzetelności i prawdziwie dobrej woli w sobie mające jest to postanowienie projektu, które żąda od przedsiębiorcy najmniej półtora tysiąca złr. rocznie na rzecz emerytalnej kasy aktorskiej. Rzecz to powszechnie wiadoma, że aktorzy nasi byli dlatego zwolennikami i wnosili nawet petycję o »umieszczenie« (!) teatru, że spodziewali się od miasta emerytury. P. referent wie doskonale, że w obec stanu finansów miasta, aktorzy w razie miejskiego zarządu teatru *nie* byliby dostali ani grosza emerytury od miasta, bo zwiększyłoby to znacznie deficyt coroczny teatru. Ale cóż stoi na przeszkodzie, aby aktorom z cudzej kieszeni dać to, czego by im się nie było dało z miejskiej. Rada zyskuje na popularności, entrepreneur traci półtora tysiąca złr. a właściwie o tyleż obniża gażę aktorów — i wszystko w porządku. Otóż nie — to wcale nie jest w porządku, dlatego właśnie, że to jest wprowadzanie w błąd aktorów z ujmą dla sztuki. Każdy przedsiębiorca (a uwaga ta stosuje się także do wszystkich innych nałożonych nań haraczów), rozpoczynając kampanię teatralną ułoży sobie budżet dochodów i wydatków. Jeśli nie będzie chciał i potrzebował żyć z teatru, dążyć będzie tylko do równowagi finansowej. A wynikiem tego dążenia będzie, że każdy taki

PRZERWANA LEKCJA.



nować. Więc najprzód każe mu płacić 1200 złr. rocznego czynszu za najem budynku teatralnego. Jestto pozycja po prostu śmieszna tam, gdzie ciągle sły-

chodów i wydatków. Jeśli nie będzie chciał i potrzebował żyć z teatru, dążyć będzie tylko do równowagi finansowej. A wynikiem tego dążenia będzie, że każdy taki

nań nałożony obowiązkowy ciężar, będzie musiał znaleźć swój ekwiwalent w rubryce tych wydatków, które przeznaczone są na cele czysto artystyczne, a więc na kupowanie sztuk, dobrą ich wystawę, tantiemy autorskie, skład trupy i gaże aktorów. Odczytawszy § 22 projektu, który mu obcina 1500 złr. na rzecz kasy emerytalnej, każdy konkurent o teatr powie sobie: »Ha! trzeba będzie zrzec się tego drugiego kochanka, którego miałem angażować«. I tak we wszystkim. Nie będzie mógł rychło grać głośnych sztuk obcych, póki one nie zejda do antykwarskich cen, ani nabywać najlepszych polskich sztuk, bo — wbrew wszelkim pozorom — i za nie płacić trzeba.

A to tylko § 22! Dodajmy do tego § 20 (1200 złr. na dekoracje i meble darowane gminie), dodajmy § 41 (3000 złr. na utrzymanie personelu dozoru budynek), dodajmy 3000 złr. straty na obowiązkowych biletach gratisowych (obliczenie K. Estreichera wydaje mi się za niskie), dodajmy 2000 złr. tytułem trzech benefisów miejskich, a dojdziemy do sumy blisko 11000 złr. odebranej przedsiębiorcy, a kilkoma pociągnięciami pióra zniżającej o tak dużą sumę rubrykę wydatków na cele artystyczne! I potem referent chce mieć porządny teatr w Krakowie! Naiwność to czy zła wola? Wróć jeszcze do tego pytania.

* * *

Ze sztucznego wprowadzenia do kontraktu całego szeregu postanowień odnoszących się do kierownictwa sceną krakowską t. j. z owej chęci upieczenia dwóch pieczeni przy jednym ogniu, zamalgamowania własnego zarządu z cudzym ryzykiem, wypłynął imponujący swą liczbą szereg sprzeczności, absurdów i śmieszności, od których roi się projekt kontraktu, a które z jednej strony zdradzają nam ów *secret de polichinelle*, że p. referent nie ma wyobrażenia o kierowaniu teatrem, z drugiej zaś strony dziwne rzucają światło na jego prawnictwo.

Najprzód kilka dowodów tej nieświadomości. Jednym z najklasyczniejszych chyba jest owo postanowienie, mocą którego komisya, z pominięciem dyrektora, może znosić się wprost z aktorami. Więc zamiast starać się o to, aby w instytucyi, która tylko żelazną ostać się może karnością, karność tę pielęgnować i dać dyrekcyi w rękę władzę nad aktorami jak najobszerniejszą, projekt wprowadza anarchię i dezorganizację, podkopuje na każdym kroku powagę i władzę dyrekcyi. Na każdym kroku, mówię, bo przykładów takich jest dosyć. Cóż za skrajnym bezsenssem jest np. postanowienie § 41, wedle którego przedsiębiorca opłacać ma (i to jeszcze jak wysoko), jakiś tajemniczy, bliżej nieokreślony personal, »czuwający nad oświetleniem, wentylacją i porządkiem w teatrze, którego nominacja gminie służy«. Więc będą w teatrze urzędnicy niezawisli od dyrektora, choć przez niego opłacani. Coby też powiedział referent teatralny, gdyby tak np. p. Namiestnik, pozwalając gminie miasta Krakowa nadal opłacać komisarzy obwodowych, zastrzegł sobie ich nominację. A do tego może byłoby więcej podstawy, niż w przypadku, gdzie idzie, jak mówią, o stworzenie kilku synekur dla urzędników magistratu. Wszakże zwiedzającym nowy gmach, jakiś urzędnik magistracki już pokazywał »swoje« biuro, a na zdziwioną minę zwiedzającego wyjaśnił, że to ma być biuro »inspektora« teatru.

Warto też podnieść, że wedle tego paragrafu funkcjonariusz, kierujący oświetleniem w tea-

trze ma być mianowany przez gminę, to znaczy płatny przez dyrekcję, a od niej niezawisły. I od niego będą zależne wszelkie efekta świetlne podczas przedstawienia! Reżyser każe mu przyćmić światło, ale ten pan może sobie z niego drwić, bo on przecie jest... urzędnikiem miejskim, a więc nie oficjalistą dyrekcyi. Pomijam już najsmutniejszą stronę sprawy, że dyrekcyja obsadzając te posady szukałaby ludzi najbardziej ukwalifikowanych, a magistrat... »strach o tej skórze pisać!« powiada Klonowicz.

Dalszym przykładem tej gorszącej u referenta sprawy teatralnej nieznamośności stosunków teatralnych, jest postanowienie § 11, wedle którego komisya może oddalić artystę, który roli nie umie. Ależ to powie p. referentowi każdy, kto kiedykolwiek był na próbach teatralnych, że na sto wypadków dziewięćdziesiąt dziewięć razy nie artysta winien, że roli nie umie, ale dyrektor czy reżyser zapóźno dając rolę do nauki. A już do humorystycznego pisma kwalifikuje się przepis, wedle którego komisya (złożona zapewne z radców miejskich) po trzech debiutach orzeka, czy ktoś ma talent, lub nie! Ależ obecnie, w tej chwili, są na scenie krakowskiej aktorzy, którzy przez szereg lat byli trzeciorzędniemi siłami, w których ani podejrzwać talentu nie było sposobu, a którzy dziś są ozdobą naszej sceny. Czyż mogą kogo dziwić takie absurda w projekcie? Wszak one są koniecznem następstwem tego, że cała sprawa teatralna od początku jest u nas — *passer moi le mot* — »sfuszerowana«, prowadzona przez ludzi nie mających o niej pojęcia, a mających niczem nieuzasadnioną pretensję do wszechstronności i uniwersalności. Wybacz mi p. referent, gdy mu powiem, że urządzenie wystawy krajowej, prowadzenie sprawy gazowej lub zajmowanie się kontumacją miejską, nie są to dowody uzdolnienia na referenta teatralnego. Raczej przeciwnie — bo przecie na wszystkim znać się trudno!

Bardzo nie lubię, kiedy artyści (malarze, aktorzy i t. p.) mówią z pogardą o reszcie społeczeństwa, jako o »filistrach«, bo zdaje mi się, że porównanie między »filistrami« a ich wrogami, niekoniecznie wypada na korzyść »synów muzy«. Ale jeśli w jakimś znaczeniu słowo »filisterstwo« jest epitetem pogardliwym, a dobrze użytym, to wtedy, kiedy mowa o sposobie dotychczasowego prowadzenia sprawy teatralnej w Krakowie. Tutaj filisterstwo oznacza ową bezgraniczną zarozumiałość *du bourgeois* w stylu p. Prudhomme, który na wszystkim się zna i artystyczne sprawy sądzi miarą kupiecką, adwokacką lub lekarską! To trudno! Nie ma zapewne »nauki« o teatrze, jakiejś *Theaterwissenschaft*, ale istnieje znajomość spraw teatralnych *Theaterkunde*, której się nabywa przez bliski z teatrem kontakt, przez czynną dla sztuki miłość, przez interesowanie się kwestyami artystycznymi i technicznymi w teatrze. I taką *Theaterkunde* trzeba mieć, zasiadając do referowania sprawy teatralnej. A jeśli się jej nie ma, to trzeba się radzić i pytać takich, którzy ją mają. Daleko to mniej ubliża, niż kompromitowanie się elaboratami będącemi wykwestem filisterstwa teatralnego, a budzącemi śmiech homeryczny w kołach choćby trochę fachowych.

* * *

Na samym czele kontraktu wypisuje referent zdanie, iż gmina miasta Krakowa oddaje przedsiębiorcy gmach teatralny »w dzierżawę«. Tajemnica niedocieczona, jakiego to rodzaju będzie »obrabianie« budynku,

które sprawi, że to, co się zwykle nazywa najmem, zamieni się w dzierżawę (§ 1091 u. c.). Boć przecie § 32 projektu zabrania wszelkiego »obrabiania« gmachu przez przedsiębiorcę, a to jest istotą dzierżawy. Używanie maszyn i dekoracyj nie uczyni chyba najmu dzierżawą, bo w ten sposób palenie pod blachą w kuchni i spuszczenie rolet w pokojach, nadawałoby spokojnemu lokatorowi cechę dzierżawcy dóbr ziemskich. Przelanie zaś koncesyi przemysłowej na osobę trzecią bywa wprawdzie w języku popularnym nazywane dzierżawą koncesyi, ale prawnik jest od tego, aby nie dać się bałamucić popularnym terminem i odgadnąć, że koncesya może być na pewien czas, darmo lub odpłatnie odstąpioną, ale nigdy wydzierżawioną, z tej prostej przyczyny, że do tego stosunku prawnego definicya § 1091 u. c. zastosować się nie da.

Nie idzie mi tu o akademicką dyskusję; zaznaczam tylko ów naczelną *lapsus* referenta dlatego, że charakterystyczne rzuca światło na wartość prawniczą projektu i pozwala zrozumieć wiele dziwnych rzeczy w dalszym ciągu projektu. *Nil admirari*, mówisz sobie spotkawszy takie piękne zaraz w § 1 określenie prawnego stosunku między gminą a »dzierżawcą«.

To też bez zdziwienia już, ale z rosnącym zgorznięciem potykamy się co chwila o prawnicze błędy i sprzeczności. Czyż to doprawdy prawnik mógł wpaść na pomysł, iż instrukcyja teatralna (§ 41), która musi być integralną częścią kontraktu, która jest jednym z esencjonalnych warunków umowy, ma być sobie wydana kiedyś tam, później, dodatkowo. Konkurent, który nie zna tej instrukcyi, może mieć miłą niespodziankę w połowie czasu trwania umowy, bo niedość, że mu tej instrukcyi nie pokażą przed konkursem, ale jeszcze można ją zmieniać co chwila i uzupełniać.

Ale bodaj czy nie najcharakterystyczniejszym dowodem zupełnego chaosu pojęć prawniczych są postanowienia, które się odnoszą do atrybucyj komisji teatralnej z jednej strony, z drugiej zaś do rozwiązania umowy między gminą a przedsiębiorcą. Widzieliśmy już, że komisya ta zatwierdza repertuar (§ 5), zatwierdza personal (§ 7) i czuwa nad dobrą grą artystów (§ 11). Rzućmy okiem na § 46. »Jeśliby dzierżawca przedstawiał dzieła sceniczne nieodpowiednie (zatwierdzone przez komisję!!!), jeśliby gra artystów była niedbałą (a czuwa nad nią komisya!) jeśliby artyści byli nieudolni (komisya zatwierdziła ich *engagement!*)... może gmina m. Krakowa rozwiązać umowę natychmiast«. Dzierżawcę więc napędza się za winy komisji. Ale to nie najciekawsze! Ta sama komisya, która tyle dała dowodów niedołęstwa, zostaje w takim przypadku »uprawnioną do prowadzenia przedsiębiorstwa teatralnego!!!« Czy to drwiny?

»Przedsiębiorca winien jest starać się o występy gościnne artystów znakomitych«, mówi § 9. Ale to żart, bo to jest w istocie niewykonalne. Wszak musi on złożyć komisji projekt repertuaru na cały miesiąc i to na 14 dni naprzód. Każdy znawca powie p. referentowi, że jest to uniemożliwienie gościnnych występów znakomitych artystów, którzy zawsze telegraficznie w ostatniej chwili donoszą, kiedy przyjeżdżają i co zamierzają grać!

Boję się nadużyć i cierpliwości czytelnika, który zniesie tylko ograniczoną ilość pokazywanych sobie absurdów, i zresztą łaskawej gościnności redaktora *Świata*, kilka więc tylko wyrwywam przykładów. Nie są one ani jedyne, ani najważniejsze, a świadczą wszystkie o zupełnym zamieszaniu prawniczym, panu-

jącym w projekcie. Każdy krok przedsiębiorcy obwarowany w nim i przewencyjnie, policyjnie, przez komisję i represyjnie, karnie, przez gminę. Mimowoli nasuwa się pytanie, komu też właściwie p. referent zamysła oddać teatr, jeśli zgóry traktuje go jako... trudno o parlamentarny wyraz... powiedzmy jako człowieka bardzo złego i bardzo głupiego.

Nic też dziwnego, że potworny projekt kontraktu wywołał w mieście naszym szereg potwornych konjektur co do istotnego jego celu: konjektur, którym nie chcę dać wiary, ale które chciałbym aby ktoś usunął, obalając kontrakt.

I tak mówi się u nas głośno, że te warunki »dzierżawy« ułożono na to, aby odstraszyć od konkurencyi najwybitniejszych i najlepszych kandydatów, że one są pisane »na upatrzonego«, który gdy po roku wykaże duży deficyt, otrzyma dodatkowe zmiany i ulgi w kontrakcie. Miła hipoteza, nieprawdaż?

Jeszcze bardziej powszechna jest wersja druga. Miasto — powiadają — nie może prowadzić teatru bez należytego zapasu dekoracyj, mebli, bez biblioteki etc. Więc wypuszcza teatr »w dzierżawę«, wkłada na przedsiębiorcę obowiązek zaopatrzenia teatru w to wszystko, a potem, wycisnąwszy go jak cytrynę, po latach sześciu (lub przy pomocy cudownego § 46 i wcześniej) wyrzuca go i przychodzi do gotowego teatru miejskiego, z cudzej kieszeni wcale ładnie umeblowanego i urządanego.

Pojmuję wszelki patryotyzm lokalny, wszelkie przywiązanie do miasta swego, ale wyznam, że nawet taki cel takich środków nie uświęca, które są, lekko mówiąc: »podstępem wprowadzaniem w błąd ludzi, w celu wyrządzenia im szkody majątkowej«.

Chciałbym, zanim przejdę do ostatecznych wniosków, rozprawić się jeszcze z teorią, którą rozgłaszają *rari nantes* przyjaciele projektu. »Ależ to tylko na papierze rzeczy tak strasznie się przedstawiają! Wszak to w praktyce będzie zupełnie inaczej, jeśli tylko będziemy mieli porządnego przedsiębiorcę«. Za pozwoleniem! Mieć »porządnego« przedsiębiorcę, t. j. człowieka a znającego teatr i kochającego sztukę, wykształconego, materialnie niezawisłego, to obowiązek Rady miejskiej, i jeśli wybiera innego, to ciężka spadnie na nią odpowiedzialność w obec miasta i kraju. I ten wybór — a nie prawnicze kruczki, niedołączne zresztą — powinien być punktem ciężkości. A jeśli tak, nie widzę najmniejszej potrzeby, owszem uważam za rzecz nieładną pisać w kontrakcie czarno, a myśleć biało, uchwalać projekt na to, aby go nie wykonywać. To jedno.

A powtóre. Znam ja swoje miasto rodzinne i ani trochę nie wierzę w praktyczną niewinność projektu. Komu nie tajne wszystkie nasze intrygi, bajki, kome-raże, to straszne górowanie pierwiastku osobistego nad publicznym, ten z góry poprosi zwolenników projektu, aby się nie ubierali w skórę baranków, skoro mają być wilkami dla przedsiębiorcy. Znając z góry przypuszczalny skład komisji teatralnej, możemy być przekonani, że pierwsza lepsza plotka miejska, ukuta może rozmyślnie, wyrzucić będzie zdolną przedsiębiorcę z łask wszechwładnej komisji teatralnej. Jesteśmy małym miasteczkiem i stosunki osobiste u nas daleko łatwiej i prędzej się jeszcze psują, niż nawiązują, a niestety decydują o wszystkim. To też lepiej będzie nie narażać sztuki naszej na to, aby mniej głęboki ukłon złożony przez przedsiębiorcę pani komisarzowej teatralnej, albo — o nieba! — samej pani pre-

zesowej, wpłynąć miał na usunięcie reżysera (w ciągu dni 14!!!), lub nie zatwierdzenie repertuaru! Doprawdy *il vaut mieux, que non.*

* * *

Nie będzie chyba konkluzją zbyt śmiałą, jeśli po tych wywodach stwierdzimy: projekt kontraktu o dzierżawę teatru, zbudowany na fałszywej podstawie, bo wbrew uchwale Rady miejskiej, w części odnoszącej się do prowadzenia teatru pełen naiwnej nieświadomości, w części prawniczej ciemny i pełen sprzeczności, jest *in radice* zły, sprzeczny i nie da się absolutnie poprawić przyczepkami lub obcinkami. Prościej, łatwiej i bezpieczniej przekreślić go w całości i postawić inny, jasny, trzymający się przedmiotu, a przede wszystkim lojalny.

A że do jego ułożenia potrzeba prawdziwych prawników z jednej, prawdziwych znawców z drugiej strony, przeto, sądę, najstosowniejszem będzie, jeśli Rada miejska, nie wchodząc wcale w szczegółową dyskusję nad projektem, uchwali w obradach ogólnych: odsyła się projekt do sekcji prawniczej z poleceniem, aby taż sekcya, przybrawszy czterech znawców (tylko nie budowniczych teatralnych, ale znawców artystycznych i technicznych teatru) wypracowała i w dniach 14 przedstawiła wprost Radzie zupełnie nowy projekt kontraktu, oparty na uchwale Rady z dnia 9 czerwca 1892 roku.

Jeśli zważymy termin, w jakim zdołano na rozkaz Napoleona napisać najznakomitszy na świecie kodeks cywilny, to uwierzmy, że w dniach 14 można ułożyć świetny i wyczerpujący projekt kontraktu z przedsiębiorcą teatralnym.

Taka uchwała Rady będzie miała tę korzyść, że pociągnie za sobą, zgodnie ze zwyczajami parlamentarnymi, uwolnienie dotychczasowego referenta od przeciążającej go zbyt ciężkiej pracy nad sprawą teatralną. Nie będzie ona też bez precedensów prawnych. Bo, że rzecz, stylistycznie i merytorycznie chybioną odsyłać się powinno do odnośnej sekcji, na to mamy świeży dowód w tem, iż Rada krakowska na posiedzeniu dnia 2 marca b. r. przedstawiony sobie, a wadliwy projekt regulaminu wyborczego odesłała do sekcji prawniczej, a uczyniła to na wniosek tak wytrawnego swego członka, jakim jest p. Dr Faustyn Jakubowski.

INFAUSTUS.

TRAGIKOMEDYA KURLANDZKA Z CZASÓW SASKICH.

(R. 1727).

(Ciąg dalszy).

VII.

Natarczywość generałów. — Odpowiedź biskupa warmińskiego. — *Rationes status.*

Dnia 27 sierpnia był książe biskup w kościele, na mszy. Gdy zeń wychodził, zabiegli mu drogę generałowie Lascy i Bibikow i zażądali rozmowy, lecz biskup oświadczył, iż nie tu miejsce do rozpraw i zaprosił ich do swej rezydencji. Tam znowu rozpoczął de Lascy od oświadczenia, że jego Imperator nie pozwoli, aby Kurlandya na województwa była rozdzieloną, lecz przerwał biskup tę przemowę słowami:

— »Co mamy zleconem, za przyjazdem innych Ichmościów Panów komisarzy, osobliwie z województwa mazowieckiego, wykonanem będzie«.

30 sierpnia zjechało się na ratuszu, gdzie reasumowano jurysdykcyę. Stawił się p. Alexander Korff, podsędek ziemski, jako plenipotent szlachty i prosił o ogłoszenie zjazdu komisji po powiatach i o zwolnienie z aresztu P. de Medem, kapitana. Powtórzyła tę prośbę i żona P. Medema. Wreszcie nadeszła chwila posłuchania generałów Lascy i Bibikowa.

Powtórzył de Lascy to, co w Janiszkach oświadczył, mianowicie: że Imperator pragnie dotrzymać traktatów, osobliwie karłowickiego i że Imperator pozwolić nie może na podział Kurlandyi na województwa. Wreszcie



LEKTORKA przez H. KOSSOBUCKĄ.

STANISŁAW TONDOS.



PLAC MARYACKI.

zażądał odpowiedzi, którą mu dano w tych słowach:

»Dziękujemy Imperatorowi Jegomości za oświadczenie się ze stateczną ku Jego Królewskiej Mości Panu naszemu miłościwemu a Rzplitej przyjaźnią i wzajemnie od Jego Król. Mości i Rzplitej upewniamy, że ją nienaruszenie zachować pragniemy. Co zaś do deklaracji imieniem Cara Jegomości uczynionej respektem podziału Kurlandyi na województwa, ta, do rezolucyi naszej nie należy, bośmy tu w tym punkcie nie do traktowania, lecz do egzekwowania i wypełnienia prawa Rzplitej deputowani i ordynowani i nie mamy plenipotencyi do rozpraw, ponieważ się Rzplita tego nigdy nie spodziewała, aby się Car Jegomość miał przeciw prawu narodów i przeciwko tak solennym z nią sojuszom interesować, do domowych jej, w swojej prowincyi własnej, porządków i dyspozycji, ile że ta komisya z sejmu jest wyznaczoną, a będący na tymże sejmie (grodzieńskim) Ichmość panowie ministri Cara Jegomości żadnej w tej materii ze Stanami Rzplitej nie mieli konferencyi. Gruntowała się i gruntuje Rzplita w swem działaniu na prawie naturalnem i powszechnem wszystkim narodom, przez które, każdy w swoim kraju, bez żadnej od obcego dependencyi i wglądania w domowe swoje rządy, jest panem wolnym i absolutnym. Respons Króla Jegomości na list Carowej Jejmości *ex mente* Rzplitej na sejmie zgromadzonej pisany dosyć obszernie w tym punkcie zdanie i rezolucyę Króla Jegomości i Rzplitej explikują. Jako oraz my nie kładziemy *rationes status nostri* za regułę rządów domowych w państwach swoich Carowi Jegomości, tak się spodziewamy, że Car Jegomość, jako pełen sprawiedliwości Monarcha, nie będzie po Rzplitej wyciągał jej *a rationes status nostri*, o której WPan namieniał dependencyi«.

Po tej audyencyi i responsie danym, zaprosił książę warmiński panów jenerałów na dzień jutrzejszy, na obiad.

VIII.

Anna Iwanówna. — Bankiet w jej pałacu. — Przyjęcie u jenerała de Lascy. — Uczta u wojewody Potockiego. — Uroczyste posłuchanie. — Wymiana poglądów.

Wśród owych zabiegów dyplomatycznych, zachowanie się księżnej kurlandzkiej, wdowy, było bierne i wyczekujące. Nie stroniąc od dygnitarzy komisyi polskiej, księżna wdowa okazywała im nawet uprzejmość i chętnie wizyty im oddawała. Gdy zjechała do Mitawy pani wojewodzina Potocka, pospieszyła do niej ze swym fraucymerem, a 7 września zaprosiła wszystkich członków komisyi na obiad do swego pałacu.

»Gdy Ichmoście wjeżdżali w dziedziniec, Moskwa w paradzie stała, a na ganku księżnej w kotły bito i trąbiono.

»Stół był tylko jeden w »miesiąc« na sali ułożony, przy którym to stole mogłoby się było mieścić osób 80, ale więcej nie było nad 50 i kilka. Księżna w środku tego stołu siedziała, po prawej jej ręce pani wojewodzina Potocka, hetmanowa polna W. Ks. litewskiego, po niej gubernatorowa rycka i inne damy, dalej: oberburgraf p. Kościuszko, prałaci księcia IMci biskupa warmińskiego, p. Brakel i inni panowie Kurlandczykowie. Po lewej ręce księżnej siedział biskup i wojewoda Potocki etc.

»Sala, na której był traktament, na suficie wiktorye Cara Jegomości przeszłego: Połtawska, Narewska, Rewelska, Ryska i inne malowania reprezentowała. Obraz Cara i różne konterfekty księżnej IMci, księcia IMci kurlandzkiego, męża jej i portrety innych Carów na ścianie wisiały.

»X. Jejmość będąc słabą wstała od stołu, ale gdy trzecie stawianie cukrów nastąpiło przybyła i dalszej ochoty dodawała. Muzyka przez cały obiad grała. Trębacze za każdym »vivat!« trąbili«.

Dnia 10 września odbył się proszony obiad u jenerała Lascy. »Miał kucharzy dobrych, mięsa, zwierzyny, ryby, wino szampańskie i czerwone, pontaki, piwo angielskie, butelowe, jabłeczniki chłodzące«.

Nawzajem, wojewoda Potocki, dnia 11 września podejmował komisję i jenerałów, w namiotach, na polu wystawionych. Stoły wszystkie zastawiono pieczysem różnem, ciastami, cukrami na wielu piramidach i fruktami. Wina dostatek. Kapela przy pierwszym namiocie koncerty grała. Po jednej stronie trębacze trąbili, w kotły bito, po drugiej, janczarowie naprzemian z nimi przygrywali. Księżna kurlandzka posłała swoich ludzi, aby się tej kolacyi przypatrywali.

»Jenerał Lascy odezwał się biskupowi, że chce kłaniać (sic) i ma nieco *ad conferendum* do Pryncypała swojego, tylko o naznaczenie czasu upraszał«.

13 września rano o godzinie 9-iej odbyło się owo posłuchanie w obecności wojewodów i komisarzy.

Jenerał Lascy oświadczył przedewszystkiem IMci Cara z Rzplitą nienaruszoną przyjaźń, nadto, że ma zlecenie wydania komisyi ludzi zabranych przy grafie Morycu. Oświadczył nadto, że ponieważ w przeszłym responsie powiedziano, że żadnej ministrowie Cara IMci względem Kurlandyi na sejmie grodzieńskim nie mieli konferencyi, tedy, natomiast, ministrowie carscy ekspostulowali i »list od zmarłej Carowej oddali«.

Wreszcie nadmienił, iż »Car, jako bliski sąsiad Kurlandyi i inni sąsiedzi i monarchowie na to pozwolić nie mogą, aby jaka odmiana była w Kurlandyi, i że ma komis oponować się temu«, a że nie mógł się dobrze eksplikować swoim językiem, tedy jenerał Bibikow też samo wyraził.

Na to książę biskup odpowiedział, jako i przedtem, wzajemną oświadczać przyjaźń Jego K. Mości i Rzplitej ku Carowi Jegomości. Względem ludzi zabranych i innych punktów do konferencyi i pp. komisarzami respons odłożył.

Na zapytanie wojewody trockiego co do zabranych papierów grafa Maurycego, Lascy oświadczył, że takowe oddanemi będą.

Wojewoda Potocki tłómacząc pierwszy respons, nadmienił:

»Iż lubo *in particulari*, panowie ministrowie ekspostulowali i list oddali, ale konferencyi publicznej, jako zwyczaj mieć chce, ministrom postronnym z ministrami i deputatami *a status Republicae* nie żądali, i na ten list, który Carowa Jejmość pisała względem Kurlandyi dany jest respons Carowej IMci i już po tym responsie żadnej nie było ekspostulacyi. Nie może sobie Rzplita inaczej tłómaczyć, tylko, że już Carowa Jejmość z tego responsu kontenta była«.

Dodał wreszcie:

»Że Rzplita żadnej nie ma dependencyi od Cara w swojej prowincyi i że nie słyhać o tem, aby się inne pograniczne państwa do Kurlandyi interesować miały, oprócz Cara IMci«.

Na to Lascy oświadczył, że IMć Car do Kurlandyi nie miesza się, lecz p. wojewoda odparł, »że to jest wielkie interesowanie, gdy się z tem Car od-

(Ciąg dalszy nastąpi.)

zywa, że się chce oponować Rzplitej, a Rzplita w rządy Cara IMCi się nie wdaje«.

Na tem audyencya się skończyła.

ALKAR.

Z FRANCUSKIEJ LITERATURY PRAWNICZEJ.

(Ciąg dalszy).

Jourdan ograniczył się w swej książce do teoretycznego zbadania związku, jaki zachodzić może między ekonomią polityczną a prawem, a jedynie w przykładach używał przepisów prawa pozytywnego i uwzględniał dane stosunki ekonomiczne. Inny charakter ma książka p. Béchaux. Teoretyczne wywody o tem, czym jest nauka ekonomii a czym prawo, co stanowi ich przedmiot, jaką powinna być metoda ich badania i t. d., składają się tylko na kilka kartek wstępu. Właściwą treść książki stanowi zbadanie związku ekonomii politycznej z prawem, i to nie z jakimś ogólnym prawem, ale z pozytywnym prawem francuskim. Księga pierwsza traktuje o prawie prywatnem, druga o publicznem; obie naturalnie nie wyczerpują przedmiotu, ale najdonioślejsze kwestye znajdują tam uwzględnienie, a nie brak i projektów reformy. Stąd i tytuł książki, w którym »*les faits économiques*« wyraźnie wskazują na pozytywny podkład całego studyum. Gdyby nie ta ostatnia okoliczność, t. j. poddanie pod dyskusję znacznego materiału wziętego z życia, książka p. Béchaux'a nie dawałaby po dziele Jourdan'a wiele nowego. Obaj są wyznawcami liberalnej, manchesterskiej nauki i obaj też wyrzekają się interwencji państwa. Łączy ich nadto wiara w istnienie prawa naturalnego, mającego mieć podstawę w naturze moralnej człowieka. »*Les principes en sont connus*«, mówi o niem Béchaux, »*par la seule raison. Ce droit, qui comprend les principes du juste, est universel et immuable, car la nature humaine ne change pas. Il se révèle a nous par la conscience; il nous apparait comme le type idéal à réaliser*«. Tem się też tłómaczy i ostra krytyka socjalistów z katedry, którym Béchaux zarzuca spaczenie metody historycznej, a raczej niechęć i nieumiejętność wyciągnięcia z zebranego za pomocą niej materiału oczywistych prawd. Z całego szeregu faktów budują oni, zdaniem Béchaux'a, tylko wnioski względne, a nie chcąc przyznać, że studyowanie fenomenów ekonomicznych w historii powinno służyć do wzniesienia umiejętności, przeczą właściwie istnieniu tej umiejętności. Zapatrywanie p. Béchaux'a na działalność socjalistów z katedry, rzuca jasne światło na pojmowanie przezeń związku ekonomii politycznej z prawem. Nie poświęca on bynajmniej nauki ekonomii dla nauki prawa, bo w studyowaniu pierwszej z nich nie ogranicza się do zbadania tylko praw

przejściowych, będących wyrazem potrzeb czasowych i zmiennych, przeciwnie twierdzi, że socjaliści z katedry wstrząsnęli naukę ekonomii w jej podstawach, bo nic fałszywszego, zdaniem jego, jak np. definicya Laveley'a, tego *porte-parole* Wagnera we Francyi, że ekonomia jest nauką określającą, jakie prawa powinni ludzie przyjąć, by z najmniejszym nakładem nabyć najwięcej użytecznych przedmiotów dla zaspokojenia potrzeb. Tego rodzaju doktryna wypłynąć mogła, zdaniem p. Béchaux'a, jedynie z mylnie i zgubnie pojętej roli państwa, nie powinno ono bowiem nigdzie tam działać, gdzie wystarcza inicjatywa prywatna. Dopiero w razie jej bezsilności przystąpić powinno państwo do czynu, ale i wtedy nie iść dalej, jak tego wymaga obawa przed większą, szerszą interwencją w przyszłości.

Ta cała jednak, nie nowa zresztą, krucjata przeciw socjalistom z katedry, mająca na celu wykazać, że nauka ekonomii a nauka prawa są umiejętnościami odrębnymi, których pod groźą zburzenia wiekowej pracy nie wolno ze sobą mieszać, nie usuwa z przed oczu p. Béchaux'a całego szeregu wniosków, jakie mimo ich naukowej odrębności między niemi zachodzą, i ogromnych korzyści, jakie prawnik może i powinien odnieść ze studyowania rezultatów ekonomii. Oto najpierw myśl zasadnicza: »*Eclairé par les principes supérieurs du juste, le législateur doit se déterminer, en fait, par les nécessités économiques et par l'utilité sociale. Or, comme dans l'ordre matériel, les besoins des hommes doivent, en bien des cas, pour obtenir satisfaction, avoir été prévus par le législateur, on voit de prime abord le lien intime qui unit l'économie politique à la science des lois*«. Ta zupełnie słuszna uwaga pociąga za sobą inne i równie słuszne i nietylko we Francyi będące na czasie. Profesor prawa prywatnego, który wykład swój opiera jedynie na tłómaczeniu tekstu ustawy i porównywaniu jednych przepisów z drugimi, zapomina, że żyje w czasie, gdy już wynaleziono druk. Zadaniem jego zbliżyć przepisy do faktów ekonomicznych, w ten tylko bowiem sposób jest w stanie ocenić ich dobroć. Jedyne kryterium tej ostatniej jest przecież tylko zbadanie, czy dana ustawa odpowiada potrzebom, które ją wywołały.

DR. WŁAD. LEOPOLD JAWORSKI.

(Dokończenie nastąpi.)

NOWE WYDANIE DZIEŁ ADAMA MICKIEWICZA.

(»*Dzieła Adama Mickiewicza*« wydał Dr. Henryk Biegeleisen. — Tomów cztery. — Lwów. Nakładem Księgarni Polskiej. — 1893).

Mamy nareszcie krytyczne wydanie dzieł nieśmiertelnego Adama. Społeczeństwo polskie, uwielbiające geniusz twórcy »*Dziadów*«, długo na nie czekało, ale oczekiwania te zostały obecnie świetnym uwieńczone skutkiem — i to dzięki gorliwości i nieustrudzonej, prawdziwie mrówczej pracy jednego człowieka, Dra Henryka Biegeleisena.

Przed półtora mniej więcej rokiem, odwiedziwszy wydawcę podczas wakacyj letnich w uroczem Hrebenowie, zastałem go w chłopskim ogródku, pod gruszą starą, siedzącego przy stole z ołówkiem w rękę, obłożonego stosami papierów i książek, wśród których najrozmaitsze edycje utworów mickiewiczowskich przeważnie zajmowały miejsce. Nie zdołałem na razie objąć

całego ogromu zadania, jakie znakomity krytyk uskutecznić zamierzał, roześmiałem się jednak na głos, dowiedziawszy się z ust jego, co przygotowuje i w jakim czasie owoc jego trudów ma się na świecie pojawić. Znałem wprawdzie skrzętność i prawdziwie żelazną uporczywość uczonego, nie mniej jednak świadomy byłem ciężkich zajęć zawodowych, pochłaniających mu czas najlepszy i najlepsze zabierających mu siły. W głowie mojej spełniał się zwykły rachunek: dodawałem, odciągałem, mnożyłem, dzieliłem i absolutnie uwierzyć nie mogłem, ażeby Dr Biegeleisen obalił choćby przy największym wysiłku rezultat tego najprostszego pod słońcem obliczenia.

Nie wierzyłem też do ostatniej chwili. Przed kilkoma jeszcze tygodniami, ilekroć spotkałem się z tym człowiekiem o twarzy wychudłej, ale sympatycznej, o twarzy, na której niezmordowana praca wyraźne pozostawiła ślady, niejednokrotnie go się pytałem: »Termin się zbliża, kiedyż będzie koniec?« »Za cztery tygodnie, za dwa, za tydzień« — była odpowiedź; aż pewnego południa sam mnie zaczął, mówiąc: »No, już jest u intrologatora«.

Omyliłem się więc w swoich obrachunkach. Dr Biegeleisen dotrzymał terminu; w przeciągu półtora roku spełnił wobec społeczeństwa obowiązek, którego spełniać nie potrzebował, bo obowiązki takie wycieńczają siły, nie przynosząc, prócz wewnętrznego zadowolenia, nic w zamian. Wielkiej zaiste trzeba czci dla nieśmiertelnego poety i niezwykle bezinteresownej miłości ziemi ojczystej, ażeby z podeptaniem własnych korzyści materialnych, może nawet z uszczerbkiem rodziny, wykonać zadanie, do urzeczywistnienia którego nie byłoby za dużo ludzi dziesięciu.

Pobieżne chociażby rozpatrzenie się w czterech tomach, leżących przed nami, da niejaki obraz rozmiarów i wartości pracy znakomitego znawcy literatury naszej, a zwłaszcza epoki mickiewiczowskiej.

Przedewszystkiem otrzymała czytająca publiczność tekst poezyj — o ile to było możliwem — autentyczny. Uwzględnionem tu zostało w pierwszym rzędzie wydanie petersburskie z r. 1829, sporządzone pod okiem poety, a zatem najwiarygodniejsze. Dla restytucji pierwotnego brzmienia utworów w edycji tej nie zawartych, uciekł się Dr Biegeleisen do wydań najwcześniejszych i do autografów Adama.

Ale nie na tem koniec. Wydawca nie zadowolił się oczyszczeniem i ustaleniem tekstu: w przypiskach, stanowiących poważny i niezmiernie doniosły materiał krytyczno-naukowy, podał on wszelkie teksty tego odmiany i warianty. Z jaką zaś sumiennością postępował w tym względzie, niech poświadczy taki n. p. szczegół, na który słusznie gdzieindziej zwrócono uwagę: nie zapomniał on mianowicie zaznaczyć, w jakiej edycji pewne słowo pisane jest przez e kreskowane (é), a w jakiej przez e zwyczajne. Drobnym to

na pierwszy rzut oka i podług niejednych z zarzutem pedantyzmu spotkać się mogący szczegół; nie zarażeni atoli tak modnem dzisiaj »szerokiem traktowaniem rzeczy«, — z istoty swej bardzo często graniczącem z płytkością, pokrywaną sztucznie powodzią ogni bengalskich, pięknie brzmiących frazesów — przyznają, że metoda badania mikroskopijnego, jakiej użył Dr Biegeleisen, była w danym wypadku nietylko pożądaną, ale wprost niezbędną.

Dla czytelnika, nie mogącego skontrolować wydawcy w drodze porównawczej, tego rodzaju sumiennosc najlepszą jest poręka, że i całość z równym traktowana była pietyzmem. Są ludzie, którym w życiu rodzinnem ufamy bez zastrzeżeń — jak to się mówi: »na słowo«, wydawcy zaś wierzymy na owo marne na pozór »e«. Ta wiara zaś potrzebną jest dla czytelnika

niezbędnie. Rozkosz, jaką każdy odczuwa na wspomnienie, że ma przed sobą prawdziwy, wierny, niesfałszowany tekst nieśmiertelnego wieszczu narodu, nie byłaby przecież zupełną, klarowną, niezmaconą, gdyby do mózgu czytającego dostał się choćby najmniejszy atom wątpliwości.

Nie obawiamy się tego! Dr Biegeleisen w ścisłości swojej poszedł jeszcze dalej, zachowując nawet pisownię i interpunkcję pierwotną, naturalnie o ile to w obec niejednostajności — znajdującej się nawet w wydaniu, sporządzonem przez samego poetę — przeprowadzić się dało. Wymaganiom czasów dzisiejszych wydawca rzadkie tylko uczynił ustępstwa, ale i tam wytłomaczył się wobec czytelnika w przedmowie, ażeby rozwiać ewentualną jego niepewność. W niektórych wypadkach zarzucićby można pewną niekonsekwencję, używany n. p. w czasach mickiewiczowskich, a także przez Adama, przyimek »s«, zmieniony został na dzisiejsze »z«, w słowach zaś, jak rozpędzić, rozkupić, rozpalić,

rozplakać się i t. p., zatrzymano pisownię autentyczną, t. j. »s«.

Zbytecznie to jednak nieraz.

Drobne tego rodzaju usterki okupuje wydawca olbrzymim stosunkowo materiałem krytyczno-historycznym i bibliograficznym, umieszczonym przy końcu każdego tomu. Na tym punkcie objaśni czytelnika najlepiej zestawienie cyfrowe. Przedstawia się ono jak następuje: na 320 stronnic tekstu mickiewiczowskiego w pierwszym tomie, mamy 116 stronnic komentarzy; tom drugi zawiera ich 72 stronice na 297 stronnic tekstu, trzeci tom wykazuje na stronnic 243 tekstu 84 str. dopisków, w czwartym wreszcie tomie znajdujemy 165 stronnic uwag od wydawcy na 324 stronnic poezyj. Zliczywszy to razem otrzymamy na 1214 stronnic tekstu w ogóle 437 stronnic gloss, czyli na 115 mniej więcej arkuszy tekstu około 40 arkuszy dopisków t. j. 3 część edycji.

Krytyczny ten aparat zawiera obok wszystkich



AUGUST GORAYSKI.

odmian tekstu (poprawek i błędów), w pierwszej linii zestawienie bibliograficzne dotychczasowych wydań danego utworu, oddzielnych, zbiorowych, szkolnych i ludowych, ilustrowanych i podłożonych pod muzykę,

(Dokończenie nastąpi).

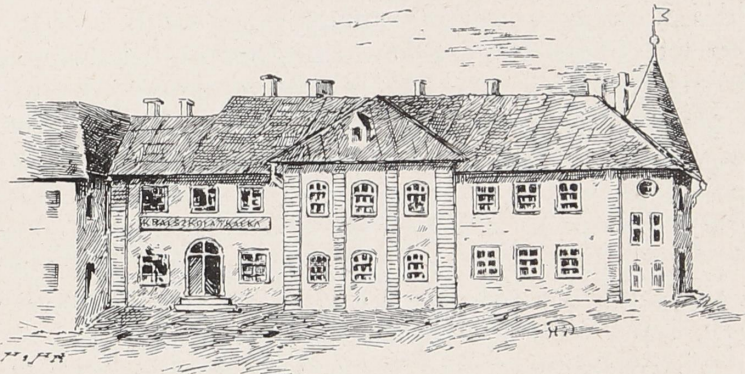
następnie wiadomość o przekładach na języki obce, oraz wykaz poważnej części studyów i szkiców, utworom tym poświęconych.

JAN KASPROWICZ.

»PRZĄDKA« KRAJOWE TOWARZYSTWO TKACKIE W KROŚNIE.

Niema wątpliwości, że w naszej niedoli porozbiorowej, jedną z większych klęsk a temsamem przeszkód do dźwigania się z nieszczęsnego położenia, jest przede wszystkim upadek wiary we własne siły narodu, w jego cnoty domowe, a nareszcie w możliwość rządzenia się i radzenia sobie bez obcej pomocy. Nie wiara ta podkopała nasze zdrowie publiczne i przeszkodziła nam nie w jednym zadaniu może więcej od nieprzyjaciół, więcej od wszelkich innych trudności. Bo cóż może być logicznym następstwem zwątpienia o sobie, jeśli nie bierność i osłabienie samodzielności, oraz upadek sił moralnych.

Podtrzymywać więc tę wiarę, która jest tak ważnym czynnikiem duchowym i moralnym, i nie dać jej upaść, jest to niezawodnie pierwszym zadaniem każdego dobrego obywatela kraju. Bo taki rozumie i wie, że z wiarą wzmagają się dzielność żywotna, twórczość narodowa



KRAJOWA SZKOŁA TKACKA W KROŚNIE.

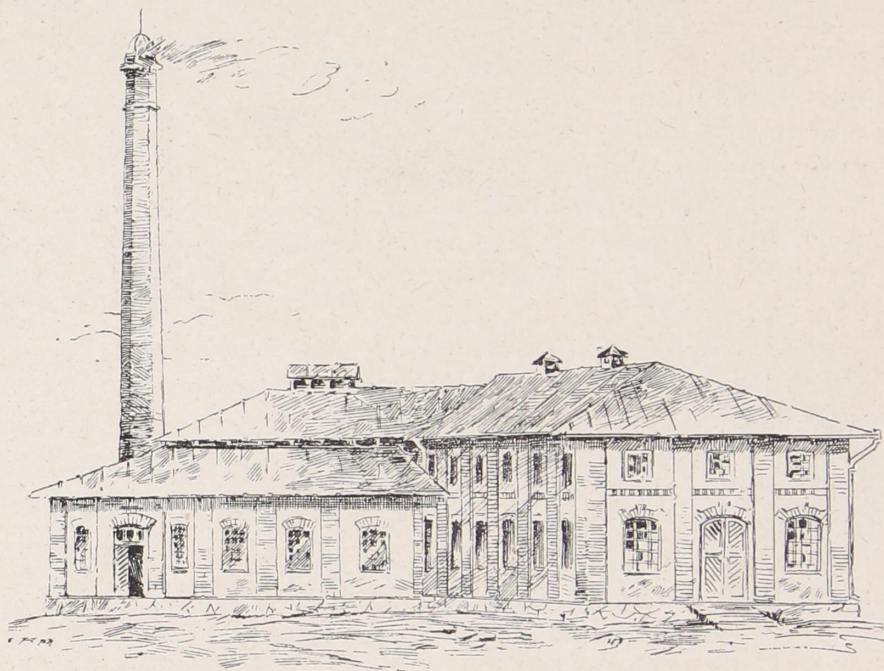
potężnie i wszechstronnie się objawia, myśl rodzima tworzy najpiękniejsze ideały w sztuce, rozszerza wiedzę i zakres umiejętności.

Cudowne te skutki, podnoszące duchy i serca, nie dały się nigdy, jak nas uczy każda karta historii, osiągnąć czczemi słowami, lecz jedynie tylko cichą i wytrwałą a umiejętną pracą, szczerą ofiarą i bezinteresownym poświęceniem. Wiele razy te a nie inne czynniki wchodzi w grę, niema wątpliwości, że sprawa dana ma zapewnioną przyszłość.

Ryciny, jakie tu zamieszczamy, dają nam obraz jednego z dzieł, stworzonych przez — w ten sposób pojęty — patriotyzm.

Towarzystwo tkackie »Przędka« skoncentrowało w sobie setki warsztatów, rozrzuconych po podstrzechach naszych włościan całej okolicy podgórskiej. Towarzystwo to wykształciło i uszlachetniło ich wyroby i wprowadziło na nowo cały nasz przemysł tkacki, zaniedbany od wieku, na rynki handlu europejskiego. Zbudowało pierwszą w kraju fabrykę blichu i apretury, wzniosło szkołę tkacką dla sześćdziesięciu uczniów — pomieszczonych, obecnie w jej murach, przy najlepiej skonstruowanych warsztatach — odbierających tam jednocześnie naukę religii i moralności, a do swego specjalnego fachu potrzebną naukę rysunku, według wzorów opartych na motywach rodzi-

mych. Wszystko to dopełniła zbiorowa siła Towarzystwa, złożona z prostych robotników, powstała z zacnej a godnej naśladowania ofiary obywatelstwa miasta Krosna, tudzież z pracy i ofiar naszego duchowieństwa, nakoniec obywatelstwa ziemskiego, oraz pomocy Sejmu, wśród warunków najtrudniejszych; — bo z jednej strony wobec groźnej i potężnej konkurencji zagranicznej, z drugiej zaś wobec demoralizacji i lichwy, trzymającej w nie-



FABRYKA Blichu i APRETURY TOWARZYSTWA »PRZĄDKA«.

woli dogorywającą w swym uścisku całą ludność tkacką, — wszystko to wobec ogólnego braku zaufania do wszelkich fabrycznych przedsięwzięć i jakiegokolwiek zbiorowej działalności. Widok więc takiego dzieła, takiego czynu dokonanego na tle naszych nieszczęsnych a tak ponurych stosunków, musi podnieść wiarę w siły własne, musi wzmocnić i dzielnie się przyczynić do zdrowego postępu.

Filarami wszelkich zbiorowych i publicznych dzieł lub instytucyj, są zawsze jednostki. Od ich energii i poświęcenia, rozwój zamierzonej pracy i osiągnięcie danego celu zależy. A aczkolwiek sam filar bez budowy niewiele by znaczył, to jednakże i budowa nie mogłaby się ostać bez oparcia. To też w tej pracy organicznej »Przędki«, krajowego Towarzystwa tkackiego w Krośnie, w rozwinięciu jego działalności na szerokie rozmiary, w tej pracy, która doprowadziła »Przędkę« do zbudowania fabryki i uorganizowania szkoły, słowem pierwsza zasługa w dźwiganiu tych trudów przypada w udziale prezesowi Towarzystwa Augustowi Gorayskiemu.

August Gorayski, poseł z ziemi sanockiej na Sejm krajowy, bez przerwy od r. 1876 wiernie trzymający się raz postawionego przez się programu ekonomicznego, to jest powiększenia produkcji rolniczej oraz wskrzeszenia i rozwinięcia przemysłu krajowego,

gorliwy prezes Rady powiatowej krośnieńskiej, nieustrudzony prezes jedyne w kraju towarzystwa górniczego naftowego, członek Izby panów, honorowy obywatel miasta Krosna, znanym jest w kraju całym. Postać jego szlachetna wpośród szerokiego tła produkcyjnej działalności przedstawia się nader sympatycznie. Przedewszystkiem jako wierny syn Kościoła, jako dobry mąż, zacny ojciec, rozumny rolnik, czcigodny sąsiad, dźwigający na swoich barkach liczne obowiązki publiczne i spełniający je z całą ścisłością, jest on żywym przykładem, że jeszcze u nas miarą sążnienia ludzi i pokładania w nich zaufania jest należyte ocenienie uczciwości jednostki, jej charakteru, dobrej woli, czystego sumienia i zdrowego rozsądku. O Augustynie Gorayskim śmiało powiedzieć można, że nie dla siebie, lecz dla kraju o pomyślność walczy. Dawniej, gdy wolna ojczyzna mogła wynagradzać synów swoich za wierne służby dostojenstwami i majątkami, łatwą była zasługa. Ale dzisiaj, gdy ta sama ojczyzna nie ma nic, a musi wymagać od nich ofiary z mienia i z życia, sumienne spełnianie obowiązków narodowych wynagradzane bywa tylko zadowoleniem wewnętrznym, spokojem własnego sumienia, lub ogólnym poparciem podjętej pracy przez kraj cały. W tem to poparciu może być i jest jedyna kompensata za wszystkie honory i zaszczyty, jakieby musiały spaść na dobrego syna i zacnego obywatela w wolnej ojczyźnie.

Niestrudzonej pracy i energii Augusta Gorayskiego zawdzięczamy rozwój towarzystwa »Prządka« w Krośnie. Swoim taktem i wyrozumiałością, bezstronnością i wytrwałością umiał pokonywać liczne trudności i dzieło wielkiej produkcji tkackiej w naszej ubogiej ojczyźnie postawić z pomocą kraju na tej drodze, że dzisiaj już tylko od poparcia ogółu zależy jej utrwalenie i dalsze rozwinięcie, uwieńczyć się mające w przyszłości wzniesieniem kilku przędzalni.

Dobra wola ogółu, stojąca twardo przy hasle: »wspierajmy przemysł krajowy« pozwala mieć ufność, że tak istotnie się stanie. Potrzeba do tego niezłomnego postanowienia każdego ojca rodziny, każdej matki i pani domu, każdego gospodarza i wyrobnika, nieużywania surowych produktów i wyrobów zagranicznych, lecz tylko swoich krajowych. Przy tego rodzaju współdziałaniu całego społeczeństwa zobaczy-

my wkrótce całą naszą śliczną — a tak dzisiaj ubogą jeszcze podgóorską okolicę tkacką — w pełni ruchu, życia, zamożności i cywilizacji. Nie mieć innej przędzy nad tę, którą zebraliśmy na rodzinnych łąkach, krwią i potem ojców użyźnionych, nie mieć innych wyrobów do użytku w domu własnym jak te, które rękami swemi lud nasz wykonał, przy ofierze i poparciu naszego ziemskiego obywatelstwa, — oto wielka manifestacja, ale zarazem wielka pociecha, świadcząca o zjednoczeniu myśli i potrzeb narodowych. Manifestacja taka godną będzie tych, co chcą dowieść, że zasługują na to, aby być wolnymi.

Aby się wywiązać z tego poważnego obowiązku względem kraju, nie potrzeba ponosić żadnej ofiary, gdyż wyroby Towarzystwa »Prządka« w Krośnie, jako nie mechaniczne, są stanowczo lepsze od zagranicznych. Dokonywane na ręcznych warsztatach, ze zdrowej i czystej przędzy, są i muszą być trwalsze, a ceny ich są jednakże niższe. Więc nie tylko moralny obowiązek, ale nawet interes własny powinien być bodźcem i dźwignią do podniesienia tego przemysłu.

Towarzystwo »Prządka« w Krośnie wyrabia i ma zawsze na składzie u siebie, jako i po wszystkich znaczniejszych miastach, na żądanie: adamaszki z monogramami i herbami, serwety, obrusy z najnowszymi deseniami, chustki i płótna różnej jakości, aż do najcieńszej weby, piękne portiery, firanki, koce, dywaniki i t. d. a wszystko znaczone godłem »Prządka«, jako jedyne towarzystwa krajowego tkackiego, dla odróżnienia od wszelkich innych wyrobów, usiłujących się podszywać pod wyroby krajowe. Publiczność ma ułatwioną możliwość orjentowania się i odróżniania fałszu od prawdy. Towarzystwo »Prządka« w Krośnie obraca parukroć stutysiącami, złożonemi z większych i drobnych składek. W 1892 roku wyprodukowano już za 196 tysięcy; przędzy sprowadzono blisko za sto tysięcy, i postawiono fabrykę za 70 tysięcy.

Ta właśnie świeżo zbudowana wielka fabryka blichu i apretury, po uroczystem poświęceniu, przy ogólnym zjeździe ziemian okolicznych, ma być w tych dniach puszczoną w ruch. Szlemy jej życzenia powodzenia, do którego przyczyniamy się z naszej strony tem bezinteresownem, obywatelskiem poparciem w łamach *Świata*, pragnącego w każdym kierunku być czynnikiem pożytku i dobra ogólnego.

EMIL RADOST.



K R O N I K A.

* Dalszy ciąg »Uroczych oczu«, komedii w czterech aktach, z powodu obfitości materiału aktualnego, przepelniającego numer dzisiejszy, odkładamy do zeszytu następnego.

* Komisya historyi sztuki w Akademii umie-

jętności odbyła w d. 9 lutego b. r. posiedzenie pod przewodnictwem prof. Maryana Sokołowskiego. Sekretarz odczytał sprawozdanie grona lwowskiego komisji z posiedzenia odbytego we Lwowie 30 grudnia 1892 r. pod przewo-

dnictwem Władysława Łozińskiego, na którym p. Bostel złożył komunikat »O żydach złotnikach XVIII w.« Na podstawie inwentarzy żydów ziemi lwowskiej i powiatu żydaczowskiego, spisanych w roku 1795, wykazał

autor ogromny wzrost liczebny żydów złotników. Sam Lwów na 6.159 ludności żydowskiej liczył 94 żydowskich złotników. P. Łoziński wyjaśniał powody, jakie wpłynęły na pojawienie się tego faktu. Ks. kanonik Petruszewicz wspominał o medalu złotym żydowskiej, — jak się zdaje — roboty, z wizerunkiem Jezusa i napisem: »Szczęśliwa Jerozolima«, hebrajskimi literami. Następnie złożył p. Kowalczyk zdjęcia z natury cerkwi w Posadzie Rybotyckiej w powiecie dobrowskim. Cerkiew pod wezwaniem św. Onufrego ma w założeniu i wykonaniu charakter pseudo-gotycki. Nawa przykryta beczkowem sklepieniem o pełnym łuku; do niej przybudowane prezbiterium, prostolinijnie zakończone, tudzież nowy babiniec i przedsionek, które tworzą wieżę z oratorium nad przedsionkiem. Mury cerkwi wykonane są z ryniaku warstwowego na wapiennej zaprawie. Filary odporne w narożnikach, wyprowadzone są w kierunku przekątni równocześnie z całością budowy i z tego samego materiału. Otwory okienne małe na wzór strzelnic, oraz ciężkie proporce dają cerkwi charakterystyczne znamię »ecclesiae incastellatae«. Zbudował ją Stanisław Herbut, kasztelan lwowski i żyznik ruski. Taką inkastelowaną cerkwią jest także cerkiew w Zatużu, obok Starego Zbaraża, której widok w perspektywie i rzut poziomy przedstawił również p. Kowalczyk. I tu sklepienie jest beczkowe z lunetami nad otworami okiennymi. Wieża ma kilka otworów strzelniczych. Materiał stanowi kamień częściowo łamany, częściowo warstwowy. Według tablicy erekcyjnej, cerkiew tę postawił wojewoda brackowski, Janusz Zbaraski († 1608) na miejsce starożytnego monasteru. P. Bostel odczytał kilka uwag o haftarstwie żydowskim w XVIII wieku; wspomniane już powyżej spisy żydów ziemi lwowskiej wykazują największą liczbę haftarzy w Brodach, co można wytłumaczyć istniejącą tam w XVII w. fabryką jedwabnych materyj, o której wspominają inwentarze magnackie w XVIII wieku. P. Kowalczyk złożył rysunek frontowej fasady zamku w Zbarażu od strony wjazdowej z XVII w. Widać z niego, że projekt słynnego architekta włoskiego, Scamozzego, podany przez Dra Czołowskiego w jego »Zamkach i twierdzach na Rusi«, nie został w tej budowie przeprowadzony; w rzucie poziomym są znaczne różnice, a wykonanie części architektonicznych nie należy do wzorowych. W końcu podał p. Bostel: »Kilka wiadomości o złotnictwie w Przemysłu« na podstawie materiałów zebranych w archiwum miejskim przemyskim. Statut zjednoczonego cechu malarzy i złotników z r. 1625 przepisuje bardzo ciekawe postanowienia odnośnie do sztuk mistrzowskich. Prelegent wymienił 33 złotników i 7 malarzy przemyskich z lat 1402—1675. — Przy wyborach zarządu groma lwowskiego, został ponownie wybrany przewodniczącym p. Władysław Łoziński, czł. Akademii, a zastępcą przewodniczącego czł. Akad. prof. Dr Tadeusz Wojciechowski. — Po odczytaniu tego sprawozdania przystąpiono do obrad: Dr Stanisław Tomkowicz zwrócił w osobnym komunikacie uwagę na *trzechnawowy kościół drewniany barokowy w Rozenbarku*, jako na rzadki w tym rodzaju przykład. Kościół wystawiony został w r. 1756, z zewnątrz mało się różni od okolicznych. Wnętrze jego jednak dowodzi, że był projektowany przez architekta i starannie obmyślony, z przeniesieniem form kamiennych barokowych i klasycznych szczegółów w drzewo. W dyskusji podniósł prof. Łuszczkiewicz, że podobny wypadek widzieć można w Mogile pod Krakowem w kościele św. Bartłomieja, wzniesionym w XVI wieku, gdzie formy stylu gotyckiego zostały w ten sposób do drzewa zastosowane. Prof. Wład. Łuszczkiewicz i sekretarz komisji złożyli następujące prace p.

Macieja Bersohna z Warszawy: 1) O domu Wita Stwosza w Norymberdze i figurze Najśw. Panny do tego domu się odnoszącej, a obecnie pomieszczonej w muzeum germańskim; 2) Studenci polscy w Bolonii i tablice herbowe im poświęcone; 3) Komunikat o interesującym przykładzie bóżnicy inkastelowanej w Łucku z lat 1626—1629. Uchwalono pierwszą z tych prac, jako obchodzącą więcej uczonych niemieckich, zwrócić autorowi, drugą odstąpić komisji literatury i oświaty, a ostatni komunikat o bóżnicy inkastelowanej pomieścić w *Sprawozdaniach*. P. Alfred Römer złożył rysunki z pięknego pomnika w katedrze wileńskiej, Stanisława Radziwiłła, zmarłego 1599. W dyskusji zabierali głos, oprócz przewodniczącego i sekretarza, prof. W. Łuszczkiewicz i obecny na posiedzeniu X. Eustachy Skrochowski. Wreszcie p. Leonard Lepczyński odczytał początek swej rozprawy p. t.: »*Studia nad miniaturami kodeksu Baltazara Behema i stosunek ich do Narrenschiffu Sebastjana Branta*«. Wysłuchanie dalszego ciągu tej rozprawy odłożone zostało z powodu spóźnionej pory do następnego posiedzenia.

* Jacek Malczewski wyjechał do Monachium. Powróci na święta Wielkiejnocy.

* Berlińska *National-Zeitung* w dodatku (z d. 13 lutego b. r.) pisze o wystawie akwarelli, pastelii i rysunków w *salonie* Amstera i Rutharda co następuje: »Pomiędzy pracami wystawionymi przez artystki-malarki tutejsze i zagraniczne, znajduje się znaczna liczba mienot, są jednak utwory zasługujące na uznanie i pochwałę. Panna Olga Boznańska, ze szkoły monachijskiej, bawiąca obecnie w Paryżu, nadesłała kilka pastelii. Pomiędzy temi znajduje się główka dziecięcia, wykonana nadzwyczaj artystycznie. Malarka krakowska, która brała już udział w powszechnej berlińskiej wystawie obrazów i znana jest u nas, daje nam w swoim pastelu jak najdalej idący *plain-air*, według najnowszego kierunku. Wprawdzie sposób ten oparty na jednym świetle i silnem cieniowaniu, robi wrażenie zimne, ale gdy się widzi dłużej przed tą pracą zatrzyma, spostrzeżenie w obrazie rzeczywiste życie, przenikające go do głębi duszy. Sposób ten, użyty przez artystkę, zamienia setki portretów olejnych, malowanych według szkoły dawniejszej. Jaki tu piękny wyraz tej ślicznej główki blondynki, z jaką precyzją i delikatnością wykonany, tak że całość wywiera nadzwyczaj silne wrażenie, pomimo sukienki fioletowej, a kolor ten — jak wiadomo — dla tego, że brudny, niechętnie jest przez artystów używany«. Czytamy nadto w czasopiśmie wychodzącem w Lipsku p. t. *Zeitschrift für bildende Kunst* (Styczeń. — Zeszyt IV) następującą wzmiankę o »Idylli« W. Szymanowskiego oraz o obrazie p. Boznańskiej, noszącym nazwę »Przed ogrodem«, a który — o ile sobie przypominamy — nie był do naszego *salonu* w Sukiennicach przyjęty. Oto dosłownie wyrazy wymienionego wyżej przeglądu artystycznego: »W czysto malowanym obrazie Szymanowskiego »Idylla«, widnieje monachijski pleneryzm; podobne pojęcie wykonania przejęła i uwydatniła w swej *świetnej* pracy panna Olga Boznańska«.

* Przed paru dniami otwartą została w Paryżu przez uczniów sławnego mistrza Cormona, wystawa obrazów. Wystawa ta bogata w dobre obrazy, z których niejedyn już odznaczono medalem w *Salonie*, zawiera w sobie prace kilku rodaków naszych. Studya i szkice charakterystyczne p. Maurycego Heimana, Kaliszanina, zwróciły na siebie uwagę znawców. Tworząca nawiąza zadumanej dziewczynki, ponury starzec i inne są oddane szczerze i z talentem. P. Heiman wystawił również prześliczny obraz znanej piękności pani Lallement. P. Karol Smolski wystawił trzy pyszne portrety, malowane w rodzaju Carolusa Durana. Wielce utalentowany malarz p. Świerkowski, posiada

na tejże wystawie śliczny obraz, przedstawiający konia w stajni.

* Artyści nasi wysłali na wystawę do Chicago pierwszą seryę obrazów. Druga w tych dniach ma być wyprawioną.

* Portret własny Jacka Malczewskiego, na wystawie Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Sukiennicach, budził jednomyślnie powszechne zajęcie.

* Wybrany prezesem, w miejsce ś. p. Władysława hr. Koziembrodzkiego, na ostatnim walnem zebraniu Towarzystwa Tatrzańskiego książę Jerzy Czartoryski, zawiadomił, że wyboru z powodu licznych zajęć i obowiązków przyjąć nie może.

* Według wiadomości, jaką otrzymujemy z wiarygodnego źródła, Teodor Rygiel, po zupełnem ukończeniu wszystkich szczegółów pomnika A. Mickiewicza, przybędzie do Krakowa w końcu kwietnia. Poczem rozpocznie się roboty, mające na celu połączenie części składowych monumentu, ustawienie na piedestale olbrzymiej statuy wieszczka i wreszcie uroczyste odsłonięcie, które przypadnie prawdopodobnie (choć data dotąd nie jest oznaczoną) na koniec czerwca lub początek lipca.

* Franciszek Gawroński (Rawita) — zamieszkały obecnie stale we Lwowie — pisze obszerną powieść historyczną, która nosić będzie tytuł »Rok 1794«. Pierwszy tom zakończy się bitwą racławicką, drugi zaś obejmie rozruchy stolicy, aż do zdobycia Warszawy.

* Józef Błaziński przed dwoma tygodniami zapadł ciężko na zdrowiu. Znakomity komedyopisarz odzyskuje powoli siły przy czułych staraniach swojej zacnej małżonki, pod opieką rektora Korczyńskiego i Dra M. Sliwińskiego.

* Prof. Dr Stanisław Smolka, sekretarz generalny Akademii Umiejętności, w interesach tejże instytucji naukowej wyjechał wczoraj do Poznania.

* Namiestnik Kaź. hrabia Badeni, zezwolił na przeniesienie zwłok T. Lenartowicza do kraju i złożenia ich w »grobie zasłużonych« na Skalce, świątyni drogich wspomnień, odnawiającej się dziś w swoich przedostatnich kształtach z XVII wieku, dzięki zacnym staraniom X. Fedorowicza, przeora OO. Paulinów. Tak więc życzenie ogółu Polaków spełnione zostanie. Idzie teraz tylko o składki, które powinny wpływać szybko i obficie, datę bowiem przeniesienia zwłok poety do Krakowa oznaczył komitet na drugą połowę maja.

* Młodzież, należąca do stowarzyszenia »Czytelnia katolickiej«, uczciła pamięć autora »Irydionu« wieczorkiem, urządzonym umiejętnie przy współudziale sił artystycznych i wyborowych amatorskich. Wśród licznych wokalnych i instrumentalnych popisów dyletantek i dyletantów, zwrócił na siebie ogólną uwagę występ panny Pasz. (uczennicy artysty dram. E. Rygiera), jako deklamatorki, posiadającej niezwykle piękne i szczęśliwe warunki wspaniałego głosu, oraz ogień święty, będący nader często zadatkami talentu. Wymieniony jej nauczyciel wygłosił bardzo ładnie jeden z ustępów »Przedświtu«; prof. Stroka skreślił treściwie pogląd na działalność poetycką Zygmunta Krasieńskiego, a Henryk Lisiewicz, utalentowany artysta-malarz, ułożył bardzo efektowny obraz z żywych osób, który zainteresował licznie zgromadzoną publiczność.

* Długo i niecierpliwie oczekiwana myśl założenia Towarzystwa wzajemnej pomocy dla pracowników pióra doczekała się nareszcie urzeczywistnienia. Dzięki inicjatywie groma młodszych dziennikarzy lwowskich, ułożono i władzy do zatwierdzenia złożono statuta projektowanego stowarzyszenia, a gdy potwierdzenie ich uzyskano, zabrano się żwawo do wprowadzenia w życie gorąco upragnionej instytucji. Na skutek rozesłanego do wszystkich dziennikarzy i literatów polskich w naszym kraju zaproszenia, odbył się we Lwowie w dniu

26 lutego b. r. Zjazd literatów i dziennikarzy polskich, na którym dokonano ukonstytuowania się nowego stowarzyszenia. Po wysłuchaniu przez zgromadzonych sprawozdania z czynności tymczasowego komitetu i po przyjęciu do wiadomości zatwierdzonego przez Namiestnictwo statutu, przystąpiono do wyborów. Prezesem wybrany został poseł Teofil Merunowicz, wiceprezesem Dr Adam Asnyk; do wydziału zaś weszli pp. Dr Biękowski, Tadeusz Czapelski, Bronisław Laskownicki, Kaź. Ehrenberg, Waclaw Masłowski, K. Bartoszewicz, J. Kasprowicz, Dr W. Regier i T. Zadurowicz. Przy wyborach kierowano się zasadą, aby każde z galicyjskich pism codziennych miało w wydziale swego przedstawiciela. Przedmiotem dalszym obrad zgromadzenia było projektowane przez komisję statutową rozszerzenie statutu, któreby dawało Towarzystwu pewien wpływ na członków i obowiązek przestrzegania godności stanu. Zmiany te, jako niedojrzałe jeszcze, odroczone. Zakończeniem zjazdu był wspólny bankiet w hotelu Europejskim, w którym wzięło udział przeszło 60 uczestników, a w ich liczbie przedstawiciele wszystkich dzienników i stronnictw politycznych. Wśród licznych toastów, myśl zbliżenia się do siebie skrajnych żywiołów i poważniejszych obozów, na gruncie materialnej pomocy wzajemnej, zyskała wielu zwolenników, dzięki czemu w przebiegu bankietu, harmonia i przyjacielsko-serdeczny nastrój, jaki panował, były dobrą wróżbą dla przyszłych losów humanitarnej instytucji. Do tej chwili przystąpiło do Towarzystwa 74 członków. Członkiem może być każdy literat lub dziennikarz za opłatą wpisowego, unormowanego w stosunku do wieku, oraz wkładek wynoszących 24 koron rocznie. Korzystać można ze Stowarzyszenia dopiero po upływie lat 5 od chwili wpisania się. Oby instytucja pożyteczna, tak długo i z takim upragnieniem urzeczywistnienia oczekująca, cieszyła się jak najpomyślniejszym rozwojem i przyczyniła się do wytworzenia harmonii i jedności wśród zastępu polskich pracowników pióra. Pięknie poczętej pracy: szczęście Boże!

* Daniel Zgliński, utalentowany publicysta i dramaturg, gościł w naszym mieście cały upłyniony tydzień, kierował bowiem w ciągu tego czasu próbami dramatu swego »Jakób Warka«, wyróżnionego zaszczytnym odznaczeniem na konkursie *Kuryera Warszawskiego*. O wartości tego niepospolitego dzieła, oraz o jego wykonaniu, mówić będziemy naprzód na tem samem miejscu w przyszłym numerze *Świata*, a następnie w obszerniejszym artykule, który obejmie ocenę wszystkich wybitnych nowych utworów oryginalnych, przedstawionych w teatrze krakowskim w ciągu bieżącego sezonu.

* Benefis p. R. Ruszkowskiego przyniósł nam jednoaktową udyalogowaną anegdotę: »Szwedzka zapalka« Chmurki i Molierowskiego »Chorego z urojenia«. Molier jest niezmiernie trudnym do grania dla aktorów polskich, a jednak wprowadzanie na scenę dzieł nieśmiertelnego twórcy »Mizantropa« uważamy za rzecz wielce pożyteczną i kształcącą artystów. W »*Malade imaginaire*« p. Ruszkowski grał oryginalnie i inteligentnie. — »Flirt« Michała Bałuckiego, nagrodzony na konkursie warszawskim, przyszedł do nas z ustaloną sławą, zdobytą na scenie Teatru Rozmaitości w Warszawie. I w Krakowie podbił publiczność. Sześć razy dzień po dniu, grano go wobec wyprzedanej sali teatralnej, a wywoływaniom, brawom, wiencom i owacyom nie było końca. O sztuce, jako o utworze teatralnym, mówić będziemy wkrótce obszerniej. Artyści nasi dzielnie przyczynili się do powodzenia. Wszyscy byli wybornie usposobieni, a pani Sien-

nicka złożyła w swej nowej kreacji dowód prawdziwego, wielkiego talentu. Nadzwyczaj zabawną była pani Wojnowska, wzruszającym p. Rygier, bardzo dobrym p. Ruszkowski. Układ reżyserski nic nie pozostawiał do życzenia, a udekorowanie sceny w akcie drugim zasługiwało na gorącą pochwałę.

* Znana zaszczytnie księgarnia lwowska Seyfartha i Czajkowskiego obchodziła w d. 1-go marca dwudziestopięcioletni jubileusz istnienia firmy.

* Teatr hr. Skarbka we Lwowie od dnia 25 p. m. oświecany bywa codziennie elektrycznością.

* Jan Galasiewicz, artysta dramatyczny i utalentowany autor sztuk ludowych, któremu — jak to donosiliśmy — z powodu ciężkiej choroby amputować musiano nogę, z rozporządzenia dyrekcyi rządowych teatrów warszawskich wykreślony został z listy aktorów. — Artyści teatru krakowskiego zamierzają dać na jego korzyść przedstawienie, na które publiczność nasza prawdopodobnie tłumnie się zbierze.

* Na konkurs kantaty, wykonać się mającej przy przysługującym odsłonięciu pomnika Adama Mickiewicza, nadesłano czterdzieści trzy utwory muzyczne.

* Sekcja krakowska wystawy krajowej, zajmująca się działem literatury i dziennikarstwa, ukonstytuowała się, obierając przewodniczącym Dra Karola Estreichera, zastępcą przewodniczącego Dra Władysława Wisłockiego, a sekretarzem Zygmunta Sarneckiego.

* Koncert kompozytorski Adama Müncheimera, zasłużonego dyrektora opery warszawskiej, odłożonym został do jesieni, z powodu wcześniejszych w tym roku niż w innych latach egzaminów w instytucjach muzycznych warszawskich, w których utalentowany kompozytor jest profesorem. Nie wątpimy, że urządzeniem koncertu tego w przyszłym sezonie zajmie się nasze Towarzystwo muzyczne, tak dzielnie i pomyślnie spełniające wszelkie zadania, mające na celu podniesienie poziomu sztuki narodowej.

* Od 1 stycznia b. r. wychodzi we Lwowie bardzo starannie redagowane czasopismo dla młodzieży i dzieci p. t.: *Wiek młody*. Nr 5 z d. 1 marca zapowiada portret Teofila Lenartowicza, pędzla Jana Styki.

* W końcu ubiegłego miesiąca odbyło się walne zgromadzenie Tow. biblioteki polskiej w Wiedniu pod przewodnictwem ks. Jerzego Czartoryskiego, prezesa stowarzyszenia. Obrady poprzedził bardzo piękny odczyt Zenona Przesmyckiego (Miriamy), poświęcony pamięci Teofila Lenartowicza. Tow. biblioteki polskiej w Wiedniu rozwija się pomyślnie, świadcząc o żywotności naszej, ile razy chcemy pracować i z zamiłowaniem oddajemy się rozumnie obranej pracy. Wymieniony już wyżej poeta i krytyk Z. Przesmycki, urządził w ciągu roku trzynaście odczytów, z których jeden wygłosił sam, a prelegentami innych byli: Dr Feintuch, Dr Krypiakiewicz, Dr Monat, S. Nowiński, Dr Łuczkiwicz, Dr Rubczyński, poseł Dr A. Sokołowski i Dr Zoll (junior).

* W dniu 26 lutego po południu odbył się w wielkiej sali Towarzystwa muzycznego w Wiedniu koncert Władysława Żeleńskiego, przy współdziałaniu słowiańskiego Towarzystwa śpiewackiego, śpiewaczki operowej Loli Beeth, śpiewaka opery Greuga i orkiestry nadwornej. Na koncercie było obecnych 1500 osób, prawie wszyscy członkowie Koła i cała kolonia polska. Po koncercie odbył się obiad na cześć Żeleńskiego u posła Władysława Struszkiewicza. Wieczorem urządziła »Lutnia« komers, w którym słowiańskie towarzystwa śpiewackie i Rusini udział wzięli. Przemawiano w polskim, czeskim i ruskim języku.

BIBLIOGRAFIA.

Edward Jelinek. — Věci polské. Slovanské tužby. (Sprawy polskie; słowiańskie tęskne życzenia).

Autora wszyscy znamy; Czech sprawiedliwy, obiektywny, informuje się o nas nie z drugiej ręki, ale samodzielnie — przez autopsję — i spostrzeżeń swych udziela swoim rodakom w licznych drobnych publikacjach. Tym razem przejechał Wielkopolskę pod Toruniem, wkroczył na terytorium zaboru rosyjskiego, a przez Galicyę powrócił do domu, uzbierawszy sporą wiązkę spostrzeżeń robionych na miejscu. Niemców nienawidzi, ale stwierdza, że sztuki prześladowania żywiołu polskiego nauczyli się oni od Moskali; opisuje też ten ucisk, takim, jakim go widział, a dochodzi do przekonania, że jest on nietylko dla Polski, ale też dla Rosyi szkodliwym. Usprawiedliwić go nie można zemstą za rok 1863, bo zemsta ta już tem, co się stało do r. 1866, aż do przesyty winna być zaspokojoną. Wszelkie słowianofilskie zapędy w Polsce Rosya swem postępowaniem sama stłumia, a Polacy mają zupełną rację, że nie pragną stać się przewodnikiem panrusycyzmu, który i tak byłby zgubnym dla plemion słowiańskich. O sprawie słowiańskiej będzie można w Polsce mówić dopiero wtenczas, gdy Rosya odda Polsce sprawiedliwość. Natenczas... inaczej rzeczy stanęłyby. Obecnie zaś Polska jest tylko straszną przestrogą dla innych, którzy w imię doktryny pchają swe społeczeństwa w objęcia Rosyi. Takie są przekonania autora; dodaje jeszcze uwagę, jak niewłaściwym jest delikatne a dwuznaczne milczenie literatury innych słowiańskich w sprawie polskiej. Rosya bądź co bądź ogląda się na Słowiańszczyznę; nie liczy się z głosami Zachodu, bo te są jej w praktyce obojętne, ale liczyłaby się może z głosami słowiańskimi, gdyby te otwarcie wystąpiły w obronie sprawiedliwości i gdyby dały do zrozumienia, że tak postępując, Rosya odstręczyć ich tylko od siebie może. Bodaj takich głosów więcej, natenczas i u nas może nie identyfikowanoby »słowiaństwa« z »moskalofilstwem«, do czego nas »bracia słowianie« aż nazbyt często zachowaniem się swoim zmuszają. Czemż Jelinek jest *rara avis*?

Gabryela Zapolska. — Szmat życia. Powieść. — Warszawa. Nakład S. Lewentala. — Dwa tomy.

Nowa ta powieść znanej autorki odznacza się równie jak i wszystkie poprzednie niepospolitym talentem obrazowania, bogactwem stylu, pięknem odwzorowaniem widoków i scen z natury, tudzież nieco za jaskrawem malowidłem charakterów. Pomimo niezaprzeczonego daru obserwowania, jaki pani Zapolska posiada w wysokim stopniu, niektóre jej postacie — naszkicowane w głównych konturach ręką śmiałą i pewną, — w kolorystycznym opracowaniu stają się karykaturami. Całość opowiadania, zajmująca od początku do końca, czyta się bardzo przyjemnie.

NEKROLOGIA.

* W d. 6 b. m. telegram przyniósł wiadomość o zgonie wielkiego krytyka francuskiego *Hipolita Taina*. Krótką wzmianką nekrologiczną niepodobna zbyć postaci tak wybitnej i pierwszorzędnej zajmującej stanowisko w europejskiej literaturze. *Świat* w jednym z przyszłych swych zeszytów zamieści obszerny artykuł, oceniający działalność pisarską autora »Historii literatury angielskiej«.

* Przeniósł się do wieczności *X. Wojciech Michna*, proboszcz w Chłopicach, nestor galicyjskich pisarzy dla ludu. Zasiłał prawie wszystkie wydawnictwa ludowe swojemi pracami. Był przyjacielem ś. p. Wład. hr. Koziembrodzkiego.